

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

GARNIZON

1 | 2021

MAGAZYN ORIGINALNY





SKŁAD WINA
I LAWENDY

Hasło:
ISOLETTE20

Termin ważności:
31.07.2021

-20%



-10%
NA MANICURE
HYBRYDOWY

Hasło: **MANI10**

Termin ważności: 31.07.2021

PAR L'AMOUR

Hasło:
I LOVE GARNIZON

Termin ważności: 31.07.2021

-10%

SKLEP
KOSZYKARZA
SK POINT

-15%
na cały
asortyment

Hasło: **GARNIZON15**

Termin ważności: 31.08.2021



Dekorotka

Hasło:
GARNIZON10

Termin ważności: 31.07.2021

-10%



Hasło:
**JESTEM
LOKALSEM**

Promocja na stałe!

-10%



MEON EMS
impulse training

Hasło: **FIT GARNIZON**

Termin ważności: 31.07.2021

-25%

na pierwszy
karnet
4 treningów
EMS

-50%
NA PIWO RZEMIEŚNICZE
VREST W GODZ. 17.00-20.00

Hasło: **HAPPY HOURS**



**BROWAR
VREST**

TWORZYMY AUTORSKIE
PIWA WE WRZESZCZU



Hasło: **DLA SWOJAKÓW**

Termin ważności: 31.07.2021

-10%

na wszystkie
dania + shot
warzywny
gratis



Hasło:
KAWA OD STRUSIA

-20%

na kawę parzoną
Termin ważności: 31.07.2021



PERFECT LOOK CLINIC

Hasło: **PERFECT LOOK**

-20%

na wszystkie zabiegi
(nie łączy się
z innymi promocjami)
Termin ważności: 31.08.2021

SPIS TREŚCI

DZIEJE SIĘ	4
Wydarzenia w telegraficznym skrócie	
POSTACI	6
Wywiad: Anna Polewka-Bienvenu i Herve Bienvenu (Bienvenu Boulangerie Francais)	
GWIAZDY W GARNIZONIE	8
Marianne Faithfull: Anioł po przejściach	
POZNAJMY SIĘ	11
Jak sztuka inkubuje w Garnizonie	
Z BLISKA	14
Między nami, Żyrankami	
DLA CIAŁA I DUCHA	17
Rower to jest świat!	
ŚLADAMI HISTORII	20
Pierwsza galeria i muzeum we Wrzeszczu	
SMAKI GARNIZONU	24
Mózg na talerzu	
OBLICZA WRZESZCZA	26
Handlowy Wrzeszcz	
LITERACKI GARNIZON	30
Janusz L. Wiśniewski: Utrata Zmysłów	
HYDE PARK	38
Take me home, country roads...	
CO NOWEGO W GARNIZONIE?	41
Przegląd nowych lokali usługowych	
Spis lokali usługowych Garnizonu z mapką	42

Dobrze znowu Cię widzieć, Czytelniku!

Nasz magazyn powraca po wymuszonej, lockdownowej przerwie – oddajemy go w Twoje ręce z optymizmem, nadzieją i radością życia, którą co roku w magiczny sposób wzmaga letnie słońce.

Minął rok, odkąd ukazał się pierwszy numer „Garnizonu”. Wiele od tego czasu się wydarzyło, cały czas jednak myśleliśmy o tym, jak powinno rozwijać się nasze pismo. W trzecim numerze przygotowaliśmy dla Ciebie kilka nowości. Wierzmy, że przypadną Ci do gustu.

Co niezmiennie, w atrakcyjny i rzetelny sposób chcemy informować Cię o wszystkich najważniejszych zmianach w Garnizonie, dotyczących zarówno nowych lokali usługowych, jak i innych aspektów rozwoju naszej dzielnicy. W trzecim numerze poznamy kolejne postaci i organizacje, tworzące nasze najbliższe, garnizonowe sąsiedztwo. Z nieustającą pasją piszemy o Wrzeszczu, pokazując kolejne jego oblicze i odkrywając kolejną mniej znaną kartę historii.

Stęsknieni za muzyką na żywo (jak dobrze, że już powróciła!) zapoczątkowaliśmy nowy cykl „Gwiazdy w Garnizonie”. Będziemy w nim ukazywać sylwetki muzycznych indywidualności, które odwiedziły lub... odwiedzą Garnizon. Cykl inauguruje redaktor Dariusz Szreter, przybliżając nam w tym numerze burzliwy i słodko-gorzki życiorys Marianne Faithfull, która zagościła na scenie Starego Maneżu jesienią 2016 roku.

Zależało nam, żeby magazyn „Garnizon” powrócił w wielkim stylu, dlatego do kolejnej odsłony naszego cyklu literackiego zaprosiliśmy jednego z najpoczytniejszych polskich pisarzy, Janusza Leona Wiśniewskiego, który stworzył dla nas swoją specjalność zakładu, czyli wielobarwny romans. Autor słynnej „S@motności w sieci” przedstawia na naszych łamach historię, która najpierw rzuca bohatera po różnych zakątkach globu, by w końcu zahaczyć o bardzo dobrze znane nam miejsca... Choć nie jest to kryminał, więcej szczegółów nie wypada nam zdradzać. To trzeba przeczytać!

Twojej uwadze szczególnie polecamy cykl Hyde Park – tym razem gościemy w nim Danę Guest, założycielkę szkoły językowej The American Academy, która serwuje nam felieton połączony z krótką lekcją angielskiego.

Jest też niespodzianka: nowe sklepy, salony i lokale gastronomiczne Garnizonu przygotowały dla naszych Czytelników letnie rabaty. Hasła upoważniające do zniżek znajdziesz na sąsiedniej stronie.

Życzymy przyjemnej lektury i cudownego lata!

Zespół redakcyjny

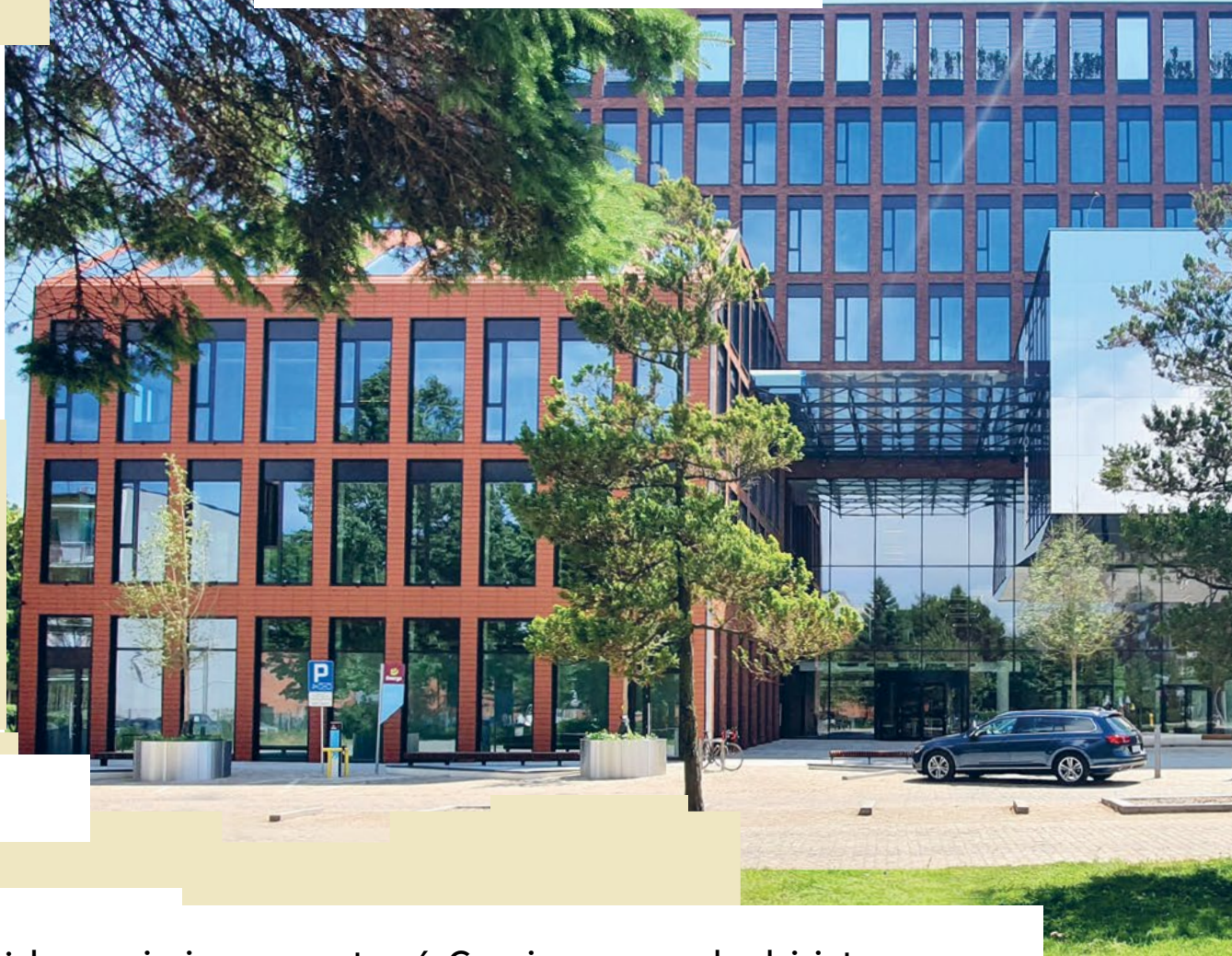
Wydawca:

HOSSA

Grupa Inwestycyjna Hossa S.A.
ul. Władysława IV 43
81-395 Gdynia



Redaktor naczelny: PAWEŁ DURKIEWICZ | Wydawca: JUSTYNA GLAZAR
Projekt okładki, koncepcja layoutu, infografika na str. 44: MAGDALENA PESZKOWSKA-BEDNARCZYK |
Skład: MICHAŁ WITUCKI
redakcja@garnizon.pl | reklama@garnizon.pl | www.garnizon.pl | facebook.com/GarnizonWrzeszcz



Każdego miesiąca przestrzeń Garnizonu przechodzi intensywne zmiany. Na naszych oczach wzrastają nowe obiekty, pojawiają się kolejne udogodnienia, rozwija się miejska infrastruktura, pięknieje zieleń – o tym można przeczytać w niniejszym cyklu.

NOWE PARKINGI

Zmotoryzowani użytkownicy Garnizonu już niebawem zyskają ponad 270 ogólnodostępnych miejsc parkingowych. Co prawda w związku z planami rozwojowymi Garnizonu zamknięty został naziemny parking przy ul. Szymanowskiego (rozpoczyna się tu budowa), jednak w ogólnym bilansie miejsc postojowych przybędzie. Udostępnione zostaną bowiem poziomy -1 w dwóch podziemnych halach garażowych – pod kwartałem II (wjazd od ul. Stachury) oraz pod biurowcem Gato (wjazd od ul. Białoszewskiego).

PARKOWANIE ZE SMARTFONEM

Łatwiejsze płatności za jednorazowe postoje to z kolei efekt włączenia garnizonowych parkingów naziemnych do systemów Sky Cash i ePark. Pozwalają one płacić za postój smartfonem, bez konieczności używania parkometru. Po pobraniu jednej z darmowych aplikacji wystarczy zarejestrować swoją kartę płatniczą. Przydatne informacje dotyczące parkowania znaleźć można na tylnej okładce naszego magazynu.

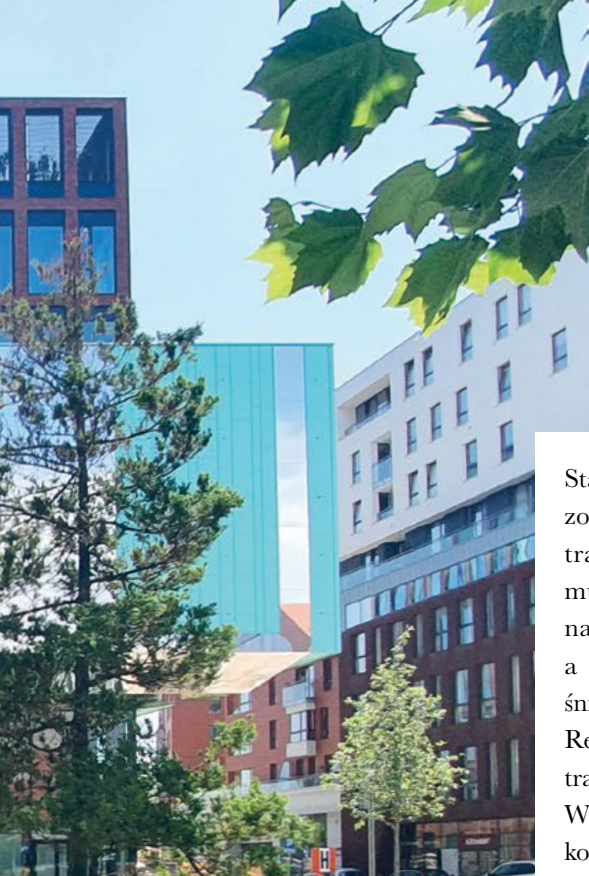
II KWARTAŁ ZREALIZOWANY

Na początku roku została oddana do użytku druga część garnizonowego

kwartału II. Pod adresami Leśmiana 1, 3 i 5, Chrzanowskiego 9 oraz Stachury 2 powstało w sumie ok. 200 lokali, z których wkrótce zaczęły dobiegać odgłosy wiercenia – niechybny to znak, że sukcesywnie wprowadzają się tu nowi mieszkańcy. W ramach nowej zabudowy powstały też lokale użytkowe na poziomie parteru. W kolejnych miesiącach można spodziewać się uruchomienia w nich nowych punktów usługowych.

LEŚMIANA WPIĘTA W UKŁAD DROGOWY

Znaczącą zmianą w tej części Garnizonu było też otwarcie całego odcinka ulicy Bolesława Leśmiana, która połączyła ulice



Bernarda Chrzanowskiego i Mariana Hemara. Na skrzyżowaniu Leśmiana/ Chrzanowskiego uruchomiona została sygnalizacja świetlna, a wyjazd w kierunku al. Żołnierzy Wyklętych ułatwia pas do lewoskrętu.

NOWY KWARTAŁ URÓŚL JAK NA DROŹDZACH

W geometrycznym centrum Garnizonu obserwujemy postępy prac przy kolejnej realizacji Hossy. Budowa kwartału VII o dominującej funkcji mieszkalnej, z usługowym parterem i dwupoziomową halą garażową, osiągnęła stan surowy, montowane są drzwi zewnętrzne i okna. Oddanie nowych kamienic do użytkownika zaplanowane jest na drugą połowę przyszłego roku.

OCZKO W GŁOWIE OGRODNIKA

Przez cały rok o trawniki, drzewa, zielenie i klomby w Garnizonie dba zgrany zespół ogrodników Hossa.biz. Wiosną podjęli się oni sporego wyzwania z myślą o tych wszystkich, którzy w Garnizonie lubią piknikować bądź zażywać ruchu w plenerze. Mowa o umieszczeniu nowego podkładu pod trawnik przy



Starym Maneżu, na którym następnie została nasadzona wysokogatunkowa trawa. Efekt to żywozielona, gęsta murawa, która przez całe lato będzie nam uprzyjemniać relaks, rekreację, a także rekonstrukcje Manetowskich śniadań na trawie.

Rekultywacji poddano również inne trawniki na obszarze całego Garnizonu. Wrzeszczańskie wróble ćwierkają, że kolejnym dziełem naszych ogrodników już niebawem będzie nowa, uporządkowana przestrzeń parkowa z małą architekturą, przyjazna zarówno dwunożnym, jak i czworonożnym użytkownikom. Zielony skwer zostanie zaaranżowany na obszarze między halą badmintonową a zabytkowym budynkiem przy ul. Słowackiego 13 i stanowić będzie przedłużenie korso rozciągającego się wzdłuż ul. Słowackiego i strugi Strzyża.

GATO, CZYLI EKOZNAKOMITOŚĆ

Norwida 1 to adres najmłodszego członka biurowej rodziny Garnizonu. Gato, świeżak o wznosie 7 pięter, cechuje się odpowiedzialnością i troską o środowisko. Świadczy o tym ocena „Excellent” („Znakomity”), jaką uzyskał w systemie wielokryterialnej certyfikacji budynków BREEAM, klasyfikującym projekty i realizacje w zakresie ekologii i zrównoważonego rozwoju. Jednym z licznych zastosowanych tu zielonych rozwiązań jest pierwszy w Garnizonie punkt bezpłatnego ładowania pojazdów elektrycznych.

Łączna powierzchnia tego biurowca klasy A+ wynosi blisko 15 tys. mkw. Pierwsi rezydenci wprowadzili się do Gato już w maju. Niebawem zapędzić się będą także lokale usługowe na poziomie parteru.

Witamy w Garnizonie nowych rezydentów biurowych:

GATO

Expert Sender
multichannel marketing

Sevion
projektowanie farm wiatrowych

Bank BPH
finanse i bankowość

Aiton Caldwell
usługi telekomunikacyjne

Objectivity
software house

HIRO

Exyte
zaawansowane technologie obiektów

Heatpex
rozwiązania dla wentylacji i rekuperacji

GAMMA

Altkom Akademia
szkolenia IT i biznesowe

GRUNWALDZKA 184–190

**Ego Centrum Pomocy
Psychologicznej –**
gabinet psychologiczny
(Grunwaldzka 186)

ECC Games
gry i symulatory sportów
motoryzacyjnych
(Szymanowskiego 4)



VIVE LE Croissant!

Od ponad roku garnizonowa piekarnia Bienvenu stanowi ważny punkt dla wszystkich miłośników wypieków w stylu paryskim. Po croissanty, czyli delikatne rogaliki, a także chrupiące bagietki i ciastka, niezmiennie ustawiają się kolejki, w których często pobrzmiwa język francuski. O tym, jak przy ul. Chrzanowskiego udało się zrobić małe Montmartre, opowiadają właściciele lokalu, Anna Polewka-Bienvenu oraz Hervé Bienvenu.

PAWEŁ DURKIEWICZ: Skąd pomysł na francuską piekarnię na terenie byłego pruskiego garnizonu w sercu polskiego Gdańska?

ANNA POLEWKA-BIENVENU: Stworzenie piekarni było od dawna pomysłem Hervé, który kiedyś pracował jako kucharz w restauracji, a po pewnym czasie zapragnął powrócić do gastronomii, ale tym razem w roli właściciela własnej

bulanżerii. Ja zaproponowałam, żebyśmy zrobili to w Polsce.

Początkowo plan był taki, aby otworzyć naszą działalność w moim rodzinnym mieście, Bielsku-Białej. Kilka lat temu intensywnie szukaliśmy tam odpowiedniego lokalu, jednak bez specjalnego powodzenia. Zbiegło to się w czasie z wakacjami, podczas których odwiedziliśmy znajomych w Gdańsku. Wtedy Hervé stwierdził, że powinniśmy poszukać właśnie tutaj. Dodatkowo dość gorącym tematem była wówczas jakość powietrza w Polsce, a pod tym względem Trójmiasto wyróżnia się zdecydowanie na plus, zwłaszcza w porównaniu z „moim” południem Polski. Miało to

dla nas spore znaczenie. Przyjechaliśmy więc raz jeszcze, przeprowadziliśmy się i w końcu, po pewnych perypetiach, udało nam się znaleźć TEN lokal – w Garnizonie.

HERVÉ BIENVENU: Nie chcieliśmy otwierać piekarni w typowo turystycznej lokalizacji, myśleliśmy raczej o miejscu, które będzie wiązało się z bazą stałych klientów, którzy będą mogli do nas wracać. Z tej perspektywy Wrzeszcz i Garnizon wydał nam się najlepszym wyborem. To miejsce, które pozostaje żywe przez cały rok, jest duży ruch, nawet w czasie pandemii.

Na czym polega wyjątkowość francuskiej sztuki piekarniczej? Nie bez powodu mówi się przecież

boulangerie (fr.) – niewielka piekarnia, połączona często z kawiarnią i bistro



o francuskich bagietkach i rogalach jako światowych wzorach.

HB: Piekarnia to w każdym zakątku Francji ważne miejsce. Z reguły są to niewielkie firmy, oparte na tradycyjnym rzemiośle. Klientów przyciąga do nich nie wystrój czy marketing, lecz jakość wytwarzanych produktów. Aby lokal w ogóle mógł nazywać się piekarnią, musi sprzedawać chleb czy bagietki w tym samym miejscu, gdzie są one wytwarzane. To różni Francję od innych krajów, gdzie pieczywo wytwarza się często na masową skalę, po czym dostarcza się je do galerii handlowych czy hipermarketów. U nas w Bienvenu też dbamy o to, by ktoś, kto przekracza nasze progi, widział od razu, że jest w piekarni, gdzie pieczywo powstaje na oczach klientów.



fot. archiwum prywatne

AP-B: Dodajmy, że piekarnictwo to część francuskiego dziedzictwa kulinarnego, obiekt dumy. Branża cieszy się dużym szacunkiem, odbywają się konkursy, festiwale...

Surowce sprowadzają Państwo z Francji?

AP-B: Francuską mąkę i belgijskie masło sprowadzamy od tego samego dostawcy z giełdy spożywczej we Francji, z kolei drożdże, nabiał i bakalie pochodzą od dostawców lub producentów żywności bio, także lokalnych. Głównym kryterium jest dla nas niekoniecznie miejsce pochodzenia, lecz jakość produktów.

W kolejce po rogalę często słychać język francuski.

AP-B: Tak i jest to dla nas bardzo fajna obserwacja. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że w Trójmieście jest aż tylu Francuzów i osób francuskojęzycznych. Wiele z nich mieszka nawet w Garnizonie. Dowodzi to słuszności naszego wyboru, żeby otworzyć piekarnię akurat w Gdańsku, a nie w mniejszym ośrodku.

HB: Cieszy nas, że stworzyliśmy dla nich miejsce, gdzie mogą przyjść, porozmawiać w swoim języku i poczuć znane i lubiane przez siebie smaki. Ale często też rozmawiamy po francusku z Polakami, którzy interesują się tą kulturą.

No właśnie, czują się Państwo misją promowania francuskiej sztuki kulinarnej?

HB: Nazwałbym to bardziej ogólnie chęcią promowania wartościowego odżywiania. Zachęcamy do kupowania jedzenia o prostych składach, które jest tworzone ręcznie, we właściwym rytmie, z dbałością o szczegóły i w oparciu o wysokiej jakości surowce. Nie używamy żadnych składników, które sprawiałyby wyłącznie, że końcowy produkt lepiej by wyglądał czy dłużej zachowywałby trwałość. Namawiamy, aby doceniać tego typu żywność, bez względu na to, czy wywodzi się z tradycji francuskiej, polskiej czy jakiegokolwiek innej.

Jakie są Państwa bestsellery?

AP-B: Produkty typowo kojarzone z Francją – bagietki i croissants. To zdecydowani liderzy. Numerem trzy są z kolei ślimaki, po francusku escargots, które proponujemy w różnych wariantach smakowych – z nadzieniami w postaci rodzynek, jagód, pistacji i innych. Dodajmy, że poza naszym stałym repertuarem staramy się co jakiś czas wprowadzać do menu nowinki, wymyślane głównie przez Herve'a.

I na koniec fundamentalne pytanie: o jakiej porze croissant smakuje najlepiej?

HB: O każdej! Najważniejsze jednak, by rogal był świeży, bo wtedy smakuje najlepiej.

AP-B: We Francji, w porze podwieczorku - kiedy dzieci są odbierane przez rodziców ze szkoły - często chodzi się do piekarni po coś słodkiego, np. po rogalika. Są Francuzi, którzy, jak chce tradycja, jedzą croissant na śniadanie. Ale każdy ma swoją własną ulubioną porę i nie ma powodów, by z niej zrezygnować.



MARIANNE FAITHFULL

Maj 1969. Marianne Faithfull z Mickiem Jaggerem w drodze na... rozprawę sądową.
fot. ASSOCIATED PRESS/East News

Dariusz Szreter

ANIOŁ

PO PRZEJŚCIACH

To był bez wątpienia jeden z najbardziej niezwykłych wieczorów artystycznych w Starym Maneżu. Występ Marianne Faithfull w niedzielę, 25 października 2015 roku, nie był zwyczajnym koncertem, ani nawet recitalem w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. 69-letnia wówczas wokalistka i aktorka zaprosiła słuchaczy na okraszoną piosenkami intymną opowieść o swoim burzliwym życiu artystycznym i osobistym.

Artystce, podpierającej się laseczką po operacji biodra, często szukającej wytchnienia na ustawionym w centrum sceny fotelu i od czasu do czasu wzmacniającej siłę gorącą angielską herbata, towarzyszyli jedynie dwaj muzycy: gitarzysta Rob McVey i perkusista Rob Ellis. Poza pochodzącą z jej debiutanciego singla z 1964 r. piosenką „As Tears Go By” i dwoma kawałkami z jej najbardziej znanego albumu „Broken English”, przebojów w programie nie

było, bo też Marianne nigdy ich w nadmiarze nie miała.

– Jeśli chcecie posłuchać hitów, idźcie na koncert Rolling Stonesów – rzuciła żartem do publiczności.

Do Stonesów jeszcze wrócimy, bowiem we wzlocie i upadku Marianne odegrali oni niebagatelna rolę.

„CZY ONA UMIE ŚPIEWAĆ?”

Marianne urodziła się w 1946 w mieszanym małżeństwie angielsko-austriackim.

Jej ojciec pracował dla brytyjskiego wywiadu, matka - tancerka i aktorka, pochodziła ze szlacheckiej rodziny. Jednym z jej przodków był pisarz Leopold von Sacher-Masoch, autor erotycznej powieści „Wenus w futrze”. To właśnie od jego nazwiska wywodzi się termin „masochizm”.

W wieku sześciu lat Marianne trafiła do prowadzonej przez zakonnice szkoły przyklasztornej, gdzie została poddana regułom surowego wychowania

katolickiego. Buntowała się przeciw niemu, czytając zakazane lektury, a kiedy była już nastolatką, wyrwała się też do Londynu, gdzie odwiedzała kluby jazzowe i modne galerie. Tam poznała Johna Dunbara, przystojnego studenta Cambridge, który w londyńskim światku artystycznym „znał wszystkich”. Na jednym z przyjęć, na które zabrał ją John, Marianne wpadła w oko Andrew Loog Oldhamowi, menedżerowi Rolling Stonesów. „Zobaczyłem anioła z dużymi cyckami” – miał później skomentować to spotkanie Oldham.

– Czy ona umie śpiewać? – spytał Johna.

– Nie wiem, ale chyba tak.

Oldham uwierzył na słowo. Swoim podopiecznym, Jaggerowi i Richardsowi, kazał napisać piosenkę, zarezerwował studio, do którego zaprosił Marianne. Tak powstał jej pierwszy przebój „As Tears Go By”. Faithfull okrzyknięta nadzieją brytyjskiego folku. Zaczęło się pasmo koncertów, sesje nagraniowe, programy telewizyjne.

Ten błyskotliwy początek kariery przerwała nieplanowana ciąża. Wymuszony ślub wcale nie scementował związku Marianne i Johna. Przeciwnie – doprowadził do wzajemnego rozczarowania i szybkiej separacji. Szybko znaleźli się następni adoratorzy. Byli wśród nich także członkowie The Rolling Stones: Brian Jones i Keith Richards. Ten ostatni, po nocy spędzonej z Faithfull, miał jakoby zapytać: Dlaczego nie zadzwonisz do Micka? On jest zadurzony w tobie po uszy.

I tak doszło do wyswatania najsłynniejszej pary swingującego Londynu lat 60.

NIC DO UKRYCIA

Wieczór 11 lutego 1967 roku to jedno z najlepiej opisanych niemuzycznych wydarzeń związanych z dziejami rocka. Około 20.30 w wiejskiej posiadłości Redlands, należącej do Keitha Richardsa, zjawili się kilkunastu funkcjonariuszy

Scotland Yardu z nakazem przeszukania domu. Ktoś złożył anonimowe doniesienie o odbywającej się tam „narkotykowej orgii”.

Policjanci zebrali wszystkich gości w salonie i rozpoczęli rewizję. W tym momencie na schodach pojawiła się Marianne Faithfull, owinięta w ogromny futrzak. Obecna w ekipie policjantka podeszła do niej, oświadczając, że ona także musi zostać przeszukana. Marianne, która akurat wyszła z kąpeli, postanowiła przekonać ją, że to zbyteczne, i upuściła futrzak, ukazując, że pod spodem nie ma nic do ukrycia.

Przeszukanie domu zakończyło się poławicznym sukcesem. Przy jednym z gości, Robercie Frazerze, znaleziono tabletki zawierające heroinę, a w marynarce Micka Jaggera środki pobudzające, które faktycznie należały do Marianne.

Proces przeciw Jaggerowi, Frazerowi oraz Richardsowi (oskarżonemu jako gospodarz przyjęcia) był szeroko relacjonowany przez media. Stonesów i ich gości przedstawiano jako zdeprawowanych narkomanów, zagrażających ładowi społecznemu. Jednak surowe wyroki – Richards skazany został aż na rok więzienia – odwróciły wektor sympatii opinii publicznej. Muzyków uznano za ofiary policyjnej nagonki. Wstawił się za nimi nawet naczelny szacownego „Timesa”. Ostatecznie po apelacji wyrok Keitha unieważniono, Micka zawieszono, a zespół wyszedł z tej historii wzmocniony.

ZE SZCZYTU NA ULICĘ

Zupełnie inaczej było z Marianne, która na sugestię adwokata, trzymana była z dala od procesu. W zeznaniach występowała jako „panna X” i tak też opisywała ją relacjonująca proces prasa, choć wszyscy wiedzieli o kogo chodzi. W oczach opinii publicznej przykleiło jej to łatkę bezwolnej zabawki w rękach zdeprawowanych rockmanów.

„Czułam się, jakby ktoś opowiadał film pornograficzny oparty na moim życiu. Skradziono mi moje życie i oddano je prasie bulwarowej. Zupełnie zobojeźniałam, byłam w szoku” – pisała w opublikowanej w latach 90. autobiografii „Faithfull”.

To zobojeźnienie znalazło swój wyraz w stopniowym, coraz bardziej pogłębiającym się uzależnieniu od narkotyków. Jej kariera muzyczna wyhamowała, podobnie jak obiecująca początkowo kariera aktorska. W 1968 roku poroniła ciążę. Kilka miesięcy później ledwo udało się ją uratować po próbie samobójczej. Rozpad związku z Jaggerem był kwestią czasu, choć w dedykowanej jej balladzie „Wild Horses” Mick śpiewał: „Dziki konie nie mogły odciągnąć mnie od ciebie”.

fot. Associated Press/East News





fot. A. Vente/ Wikimedia Commons

W 1970 roku sąd odebrał jej prawo opieki nad pięcioletnim wówczas synem Nicholasem. W ciągłym narkotykowym amoku, stwarzająca zagrożenie dla siebie i innych, wyrzucana przez kolejnych znajomych, u których pomieszkiwała kątem, Marianne w końcu dosłownie wylądowała na ulicy.

GŁOS ZBOLAŁY, ALE SILNY

Analizując po latach przyczyny swojego upadku, Faithfull uznała, że choć lata 60. pod wieloma względami przyniosły społeczną i obyczajową emancypację, to jednak nadal obowiązywał podział w kwestii, co wypada mężczyznom, a kobietom już nie. Nawet w środowiskach tak wyzwolonych jak światki muzyków rocka. Siebie Marianne uznała za ofiarę osądów opartych na tych właśnie stereotypach. Obaliła je dopiero kolejna rewolucja obyczajowa. W punkowych załogach dziewczyny nie pełniły już roli „aniołów z cymbalami”. Nosiły się i zachowywały z tą samą bezkompromisowością i agresją co mężczyźni. Artystki takie jak Pattie Smith, Siouxsie Sioux, Ari Up czy Nina Hagen zarówno na scenie, jak i w życiu,

jasno określały swoje potrzeby, formułowały własne opinie. To było właśnie to, czego pragnęła dla siebie Marianne.

W drugiej połowie lat 70. Faithfull podjęła próbę powrotu na scenę. Początkowo śpiewała w podejrzanych klubikach jako support wykonawców, których nikt już dziś nie pamięta, i nadal klepała biedę, mieszkając w nieogrzewanym mieszkaniu, bez prądu. Zaczęła jednak kompletować muzyków, z którymi się rozumiała, napisała pierwsze od wielu lat własne piosenki.

To zbieranie sił trwało dwa lata, ale rezultat był więcej niż udany. Album „Broken English” z 1979 roku pokazał zupełnie nową Marianne, kipiącą nowofalową energią, rozkołysaną rytmem reggae. Zachwycała tytułowa piosenka poświęcona niemieckiej terrorystce Ulrike Meinhof, zaśpiewana głosem zbolałym, schrypniętym i trwale obniżonym od nadużywania narkotyków i palenia papierosów. Zaskakiwała interpretacja „Working Class Hero” Lennona. Gorszyła pełną agresji i dosadnych sformułowań skarga zdradzanej kochanki „Why D’Ya Do It”. Faithfull pisała w autobiografii, że przez cztery godziny musiała przekonywać autora tekstu, poetę Heathcote’a Williamsa, że Tinie Turner, którą on wymarzył sobie jako interpretatorkę, użyte tam słowa nigdy nie przejdą przez gardło.

BĘDZIE Z TEGO FILM

Odrodzenie artystyczne nie równało się natychmiastowemu wyprostowaniu ścieżki życiowej wokalistki. Trzeba było kolejnych siedmiu lat, zanim definitywnie zerwała z narkotykami.

Ostatnie trzy dekady to pasmo sukcesów artystki. Nie jest może aż tak popularną i rozchwytywaną gwiazdą swojego pokolenia, jak Rolling Stones czy Bob Dylan, ale jej kolejne, wydawane regularnie co dwa-trzy lata albumy zbierają wysokie oceny krytyków. Współpracują z nią tak uznani muzycy jak Damon Albarn (Blur, Gorillaz), Nick Cave, Jeff Beck, Roger Waters (Pink Floyd), Billy Corgan (Smashing Pumpkins), Jarvis Cocker (Pulp) czy Angelo Badalamenti (ten od muzyki z „Miasteczka Twin Peaks”). Z sukcesem podjęła karierę aktorską. Tytułowa rola w filmie „Irina Palm” przyniosła jej nagrodę na Festiwalu w Berlinie. Z powodzeniem występowała na deskach teatralnych całego świata z piosenkami Kurta Weilla oraz recytacjami „Sonetów” Szekspira.

Na początku roku 2020 uwagę fanów Marianne Faithfull przykuły dwie informacje. W lutym ogłoszono, że powstaje jej fabularyzowana filmowa biografia, ze znaną m.in. z „Bohemian Rhapsody” Lucy Boynton w roli głównej. - Film skupi się na barierach i niesprawiedliwościach, z którymi musiała się zmierzyć, by zostać uznana za niezależną artystkę - zapowiadał reżyser Ian Bonhôte.

4 kwietnia ujawniono natomiast, że Faithfull zachorowała na Covid-19. Po kilkunastu dniach Marianne wróciła do zdrowia. Filmowcy z powrotem na plan muszą jednak niestety zaczekać do końca pandemii.



DARIUSZ SZRETER – gdański publicysta, od 24 lat związany z „Dziennikiem Bałtykiem”. Prowadził audycje muzyczne w Radiu Gdańsk i Gdynia Radio. Współautor filmu dokumentalnego „Czy mnie jeszcze pamiętasz?” o gdańskich początkach kariery Czesława Niemena.



Sztuka

INKUBUJE W GARNIZONIE!

Paweł Durkiewicz
Zdjęcia: Tomasz Pijanowski

Ostatnie piętro budynku przy ul. Słowackiego 21 już od kilku lat stanowiło garnizonową kuźnię talentów. W tym czasie, działająca tu Republika Marzeń pozwoliła rozwinąć artystyczną pasję setkom osób w każdym wieku i o różnym stopniu zaznajomienia ze sztuką. Od marca w tym też miejscu swoją działalność rozpoczął PIK, czyli Pomorski Inkubator Kultury. Dzięki tej inicjatywie, przyjazną rozwojowi twórczości przestrzeń w Garnizonie dostali artyści profesjonalni.

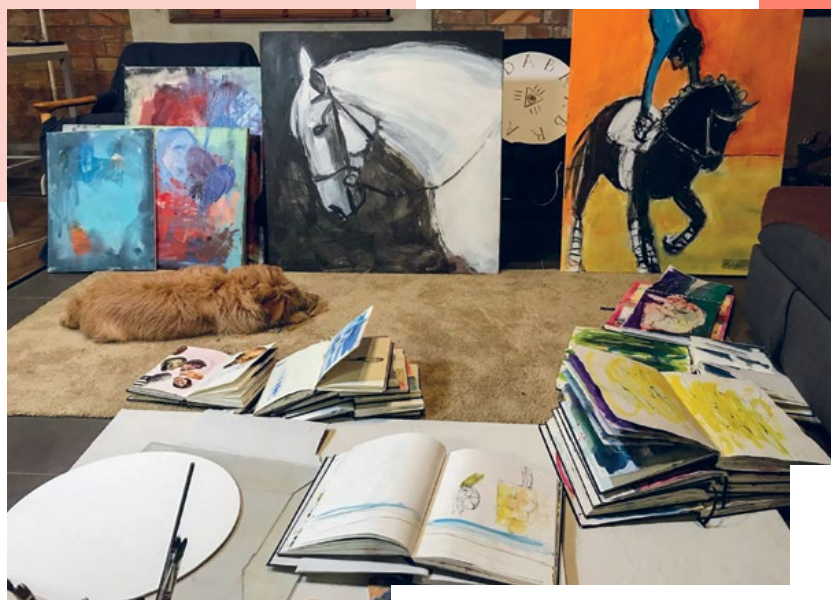
Pomorski Inkubator Kultury to projekt, którego realizacji podjął się gdański teatr Znak i którą wsparły instytucje samorządowe - Urząd Marszałkowski Województwa Pomorskiego oraz Port Lotniczy Gdańsk. PIK jest dla artystów już nie tylko miejscem twórczej pracy, ale też swoistym bankiem wiedzy o prowadzeniu kariery i realizacji projektów

artystycznych. Uczestników - zawodowych twórców - wspierać będą specjaliści ds. mentoringu, kuratorzy wystaw czy doradcy z branży art-business. Pomoc zaadresowana jest przede wszystkim do artystów z Pomorza, których działalność ucierpiała przez pandemię COVID-19. Idea PIK-u jest jednak otwarta na wszelkie intrygujące inicjatywy.

ARTYSTYCZNY THINK-TANK

– Będzie to miejsce z kapitałem swoistego know-how w kulturze. Liczymy, że przyciągnie artystów nie tylko z regionu, ale też z całej Polski i Europy. Bardzo byśmy chcieli, żeby ta przestrzeń promieniowała swoją działalnością oraz aktywnością i żeby była źródłem inspiracji – zadeklarował marszałek województwa pomorskiego Mieczysław Struk, podpisując wiosną list intencyjny w sprawie powołania do życia nowej inicjatywy.

Artyści, którzy dołączą do PIK, otrzymają możliwość nieograniczonego korzystania z trzech pracowni plastycznych wraz z ich wyposażeniem, dostęp do pracowni taneczno-teatralnej i pracowni prób muzycznych, magazyny na prace, narzędzia itd., a także wspomniane doradztwo, szkolenie i pomoc w karierze artystycznej. Czas trwania



MARZENIA NADAŁY KLIMAT

Obecność Inkubatora przy ul. Słowackiego nie jest przypadkiem. Nowa instytucja wchodzi bowiem w przestrzeń, która przesiąkła już sztuką i artystycznym klimatem. Wszystko za sprawą Republiki Marzeń, szkoły artystycznej, która przez blisko pięć ostatnich lat kształciła pasjonatów-amatorów w takich dziedzinach jak ceramika, rzeźba, teatr, taniec, śpiew, malarstwo czy fotografia.

Dla wielu mieszkańców Trójmiasta i okolic Republika była miejscem, w którym po raz pierwszy udało się przełamać brak wiary w swoje artystyczne możliwości. Dziś „przełamani” tworzą zgraną, wielopokoleniową i barwną społeczność, której nie naruszyły nawet utrudnienia związane z pandemią i obostrzeniami sanitarnymi.

Całe piętro wypełnione jest dziś ich obrazami, rzeźbami, ręcznie wykonanymi naczyniami czy fotografiami.

rezydencji wyniesie 3, 6, 9 lub 12 miesięcy. Po zakończeniu można aplikować o następną rezydencję.

– Zwiększona obecność artystów zawodowych już od tego lata powinna zauważalnie wpłynąć na przestrzeń

Garnizonu poprzez wystawy i pokazy na najwyższym poziomie – zapowiada Ewa Kliszewska, manager projektu PIK. Informacje wraz z formularzem zgłoszeniowym do PIK dostępne są na nowym serwisie www.pik.pomorskie.pl.

– Dzięki temu nasi kursanci przychodzący na zajęcia mówią, że „jest jak w domu”, choć pewnie mało kto ma u siebie takie wnętrze. Wchodząc, rzeczywiście można poczuć się jak dziecko w sklepie z cukierkami, bo dużo jest rzeczy przyciągających uwagę – mówi Marzena Gawrysiak, dyrektor artystyczna PIK.

UZDRAWIAJĄCA MOC GLINY

Jednym z najpopularniejszych kursów wśród amatorów od samego początku były zajęcia ceramiczne. Skąd bierze się fenomen koła garncarskiego?

– Należy podkreślić, że te zajęcia nie wytwarzają tylko konkretnych umiejętności manualnych. Doskonale uczą też cierpliwości i pokory, rozwijają precyzję, kreatywność i niestereotypowe myślenie – wymienia Justyna Krzemieniewska, nauczycielka koła garncarskiego. – Ponadto praca z masami plastycznymi ma tę niezwykłą cechę, że na określony czas wycisza umysł i pobudza do działania obie półkule mózgowe, usprawniając

połączenia między nimi. W efekcie jesteśmy spokojniejsi, szybciej przyswajamy wiedzę i łatwiej nam zachować równowagę. Dużo osób uczęszczających na nasze zajęcia mówi, że glina to terapeuta, i to niezawodny. Sporo w tym racji.

– Każdemu to mówię: gdy bierzesz w ręce glinę, dzieje się magia. Zapominasz o bożym świecie – mówi pani Maria, kursantka ceramiki, która na zajęcia dojeżdża z Bojana. – Przez trzy godziny dajesz się ponieść czystej fantazji i skupiasz się tylko na tym, by dobrze wyszło. Jeśli komuś się marzy choć raz w tygodniu dłuższa chwila, by zapomnieć o wszelkich troskach, powinien tu przyjść. Mogę potwierdzić, że działa to uzdrawiająco!

– Czy praca przy kole garncarskim potrafi być fizycznie męcząca? Czasami – owszem, bywają nawet zakwasy, które w ciekawy sposób uświadamiają człowieka o istnieniu pewnych mięśni – dodaje pani Agnieszka. – Ale takie zmęczenie, połączone z wielogodzinnym wyciszeniem to naprawdę cudowne uczucie.

TWÓRCZA SYNERGIA

Choć w nowych realiach Pomorskiego Inkubatora Kultury przestrzeń zajmowana wcześniej przez Republikę Marzeń służy zawodowym artystom, nie oznacza to, że pasjonaci-amatorzy znikną. Większość dotychczasowych działań otwartych i edukacyjnych będzie realizowana, więc adepci nadal mogą szukać tu także swojego miejsca. Obie grupy mogą wręcz stanowić dla siebie dodatkową inspirację i motywację.

- Pomorski Inkubator Kultury będzie kontynuował działalność związaną z zajęciami dla amatorów w zakresie ceramiki, koła garncarskiego, rzeźby oraz rysunku i malarstwa – deklaruje Ewa Kliszewska. – Ponownie zaprosimy także na zajęcia młodzież chcącą przygotować się do egzaminów na uczelnie artystyczne.

Marzenia nadal więc inkubują, a ustrój „nowej” republiki oparty jest na twórczej współpracy. Liczymy więc na prawdziwie artystyczne fluidy już tego lata!



MIĘDZY

NAMI,



ŻYRAFKAMI

Paweł Durkiewicz

Wędrujące gromadki maluchów z charakterystycznymi jaskrawożółtymi chustami na szyjach to znany element garnizonowego krajobrazu. Małe „żyrafki”, czyli dzieci z przedszkola Żyrafa, działającego w dwóch punktach przy ul. Norwida i Słowackiego, podczas spacerów eksplorują najbliższe otoczenie i szukają ciekawych miejsc do zabawy. Jak jeszcze spędzają czas? Odwiedziłem przedszkole, by przekonać się na własne oczy.

Przedszkole Niepubliczne Żyrafa powstało w Garnizonie w 2013 r. jako jeden z pierwszych najemców usługowych – początkowo tylko na poziomie parteru w biurowcu Gamma przy ul. Norwida, a od 2018 także w odrestaurowanym budynku zabytkowym przy ul. Słowackiego 13.

Sympatyczny zwierzak zawarty w nazwie nie jest przypadkiem – żyrafy w miarę dorastania wyjątkowo szybko poszerzają swoje horyzonty, zawsze też mierzą wysoko, choć nie noszą głowy w chmurach. Taka jest właśnie misja przedszkola. Za cel postawiło sobie ono rozbudzanie w dzieciach ciekawości

świata, szacunku do ludzi, wrażliwości na estetykę oraz na kształtowanie wewnętrznej motywacji do działania.

Jednym z autorskich metod osiągnięcia tych celów są wizyty ekspertów. Goście objaśniają maluchom swoje zawody i pasje – bywają wśród nich muzycy, lekarze, treserzy zwierząt, policjanci czy sportowcy. Ja pojawiłem się w Żyrafie, by opowiedzieć o pracy redaktora, a przy okazji – zebrać materiał do niniejszego minireportażu.

JAK CIĘ WIDZA, TAK CIĘ PISZA

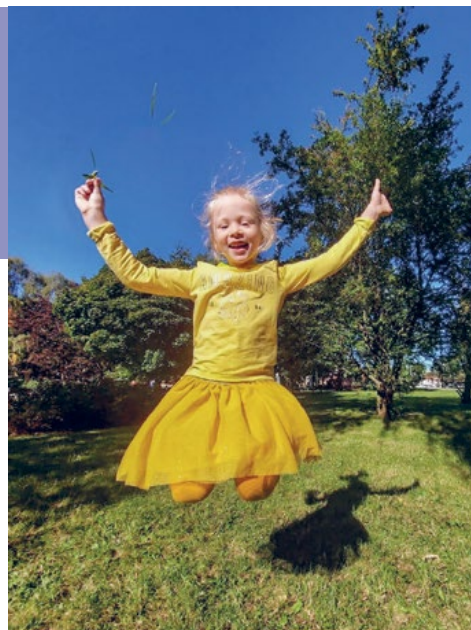
Siedzę więc przy tablicy, na malutkim krzeselku naprzeciwko około dwudziestoosobowej grupy czterolatek, zgromadzonych w półkolu. Czuję treść, ale nie taką jak przed maturą, rozmową kwalifikacyjną czy egzaminem na prawo jazdy. Nie ma stresu, jest za to poczucie odpowiedzialności. Jeden fałszywy ruch i dzieciaki zaczną szaleć - myślę. A z drugiej strony - co zrobić, żeby ich nie zanudzić?



Obawiałem się, że temat pracy redaktora nie będzie dla dzieci specjalnie pasjonujący, ale na szczęście myliłem się. Moi mali rozmówcy chętnie opowiedzieli, co czyta się w ich domach, trafnie zwrócili też uwagę, że „gazety są też przecież w telefonach”. Szybko okazało się, że mam do czynienia z grupą zapalonych czytelników – każdy potrafił wymienić kilka swoich ulubionych książkowych postaci.

W końcu przysłała pora, by pokazać dzieciom przykłady periodyków. Rozdane egzemplarze magazynu „Garnizon” wywołały drobne zamieszanie i dużo komentarzy – każdy chciał przejrzeć oba dotychczasowe wydania, a najwięcej zainteresowania wzbudziła charakterystyczna grafika z „Panem Kotem” na przedostatniej stronie naszego pierwszego numeru z lata 2020. Chwilowo straciłem uwagę moich słuchaczy...

Z opresji uratowała mnie pani Paulina, nauczycielka grupy, która jak za pomocą czarodziejskiej różdżki na nowo skupiła uwagę dzieci. Wystarczyło wypowiedzieć jedno zdanie: „Chcę powiedzieć kilka słów”, na co dzieci chórem odpowiedziały: „My słuchamy, a ty mów”. Byłem pod wrażeniem – przedszkolaki przez całe zajęcia zachowywały się raczej swobodnie, a mimo to nie traciły zainteresowania tematem i chętnie zabierały głos, bez przekrzykiwania czy



znieczepienia. Po każdym moim pytaniu widziałem las rąk uniesionych w górę.

Wcześniej dowiedziałem się, że właśnie sposób komunikacji z dziećmi jest jednym z wyróżników Żyrafy. Po raz pierwszy w Trójmieście przyjęto tu założenia Porozumienia bez Przemocy (NVC). Na czym polega ten system?

– Żyrafa wierzy, że za każdym zachowaniem stoi jakaś potrzeba i nauczyciele wspólnie z dziećmi poszukują strategii na jej zaspokojenie – wytłumaczyła mi Marta Mittag-Plesun, dyrektor metodyczna przedszkola. – Tworzymy więc przedszkole bez kar i nagród, dzięki czemu dzieci czują większą autonomię i pewność siebie wiedząc, że niezależnie od swojego zachowania otrzymają wsparcie od nauczyciela.

TEMAT DNIA – NA PIERWSZĄ STRONĘ!

Kulminacyjnym punktem naszego spotkania było wspólne napisanie krótkiego artykułu. Idealną okazją był zbliżający się akurat Międzynarodowy Dzień Pizzy. Wytłumaczyłem więc dzieciom, jak powstaje materiał dziennikarski i jak ważne jest samodzielne zdobycie informacji od pewnego źródła. W tym celu przeprowadziliśmy prawdziwy wywiad dziennikarski z panią Izabelą. Razem z maluchami zapytaliśmy o szczegóły obchodów tego pysznego święta w Żyrafie. Na koniec podpowiedziałem dzieciom, jak można ubarwić tekst, by był ciekawszy dla czytelnika. Poniżej efekty naszej pracy:

Sensacja! Smakowita celebrowanie w Żyrafie

Święto okrągłego placka? Czemu nie! Już w najbliższy wtorek w przedszkolu Żyrafa obchodzony będzie Międzynarodowy Dzień Pizzy. O godzinie 10.00 dzieci otrzymają składniki niezbędne do wykonania



włoskiego przysmaku wedle własnego pomysłu – ciasto, pomidorową pulpę, ser i dodatki. Każdy przedszkolak będzie mógł samodzielnie skomponować swoją pizzę, która następnie powędruje do piekarnika w kuchni. Po krótkim czasie będzie można rozpocząć wspólną ucztę.

Jakie preferencje pizzowe mają małe żyrafki? Zdania są podzielone: 6 lubi pizzę z papryką, 8 z szynką, a 6 klasyczną margheritę. Jest też jeden miłośnik kontrowersyjnej pizzy hawajskiej zawierającej kawałki ananasa – to Pani Paulina! Wszystkim życzymy dobrego apetytu!

SWOBODA-MOC-KREATYWNOŚĆ

Choć Dzień Pizzy obchodzi się w Żyrafie tylko raz w roku, inspiracje ze słonecznej Italii były tu obecne od samego początku. Stosowane przez kadre dydaktyczną reguły oparte były bowiem na metodach stworzonych we włoskich miastach San Miniato i Reggio Emilia. Zgodnie z nimi, nauczyciel jest przewodnikiem dzieci: towarzyszy im, nie narzucając sposobów działania, lecz wspierając je w indywidualnym poszukiwaniu rozwiązań.

Stąd bierze się żyrafowy program „Małych Badaczy”, wedle którego dzieci mają eksplorować, dotykać, doświadczać

i wyznaczać tory w samodzielnym poszukiwaniu informacji. W efekcie tego czują swobodę działania i moc do odkrywania świata, a także okazywania własnej, niczym nieskrępowanej kreatywności. Każdego miesiąca poznają więc nowe sfery życia: zdrowie, ekologię, naukę, ruch drogowy, muzykę czy świat emocji. Zarówno w przedszkolu, jak i poza nim – dzieci codziennie wychodzą na wędrowki po Garnizonie i okolicach, a gdy pozwala na to aura, wsiadają do autokaru i jadą na wycieczkę w ciekawe miejsca. Odwiedzają parki edukacyjne, papugarnie, fabryki elfów, stadniny koni czy gospodarstwa agroturystyczne. I choć przedszkole realizuje politykę „otwartych drzwi”, jest ktoś, kto nigdy nie ma tu wstępu – to nuda!

Wierzę, że nasze krótkie spotkanie sprawiło, że żyrafowe czterolatki jeszcze chętniej sięgają będą po różnorodne lektury. Umówiliśmy się też, że już za jakiś czas zobaczą swoje zdjęcie w magazynie „Garnizon”. Daną im obietnicę niniejszym spełniam!

zdjęcia: mat. promocyjne Składak

Rower TO JEST ŚWIAT!

Paweł Durkiewicz

Pomału, lecz systematycznie, nasz Gdańsk staje się miastem rowerowym. Natura stworzyła nam idealne warunki do jazdy rekreacyjnej i wyczynowej, a rozbudowywana przez miasto coraz gęstsza sieć ścieżek rowerowych pozwala też używać jednoślada na co dzień: w dojazdach do pracy, na randkę, siłownię, do lekarza czy na shopping. Bycie cyklistą to zdrowie, wolność i ekologia. Na co więc czekać? Koła w ruch!

Sąsiadujące z Garnizonem wzgórza Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego w ostatnich latach stały się jednym z ulubionych celów eskapad dla mieszkańców Trójmiasta. Rozległe knieje o urozmaiconej rzeźbie terenu pozwalają urządzić sympatyczną rodzinną wycieczkę, ale też nieco poszaleć na stromych zboczach, idealnych dla miłośników MTB. Kto zaś lubi powiew morskiej bryzy, bierze kurs na pas nadmorski. Tam możemy do woli kręcić kilometry, poruszając się bezpośrednio wzdłuż linii brzegowej Zatoki Gdańskiej. Z przystankami na świeżą rybkę lub oranżadę w tawernie. Bajka! Rower świetnie spisuje się nie tylko od święta, ale i na co dzień. Permanentna przesiadka z auta na jednoślad to sytuacja win-win: cyklista zyskuje zdrowie, kondycję (godzina umiarkowanej intensywnej jazdy spali nam aż 400–500 kalorii!) oraz zastrzyk endorfin na cały dzień, nie zostawiając przy tym ani grama śladu węglowego. Czy będziemy więc jak Amsterdam, Barcelona czy Kopenhaga, gdzie korki samochodowe zostały zastąpione przez rowerowe, a zanieczyszczenie powietrza spadło

w spektakularnym tempie? Do tego na pewno długa droga, ale widać, że idziemy w dobrym kierunku.

W ideę miasta przyjaznego cyklistom z pewnością wierzą właściciele Składaka. To nietypowe bistro – nie tylko ze względu na oryginalny wystrój i klimat, lecz również ze względu na fakt, że działa tu profesjonalny serwis i sklep rowerowy. Gdy więc na trasie złapiemy gumę, nie ma tragedii – wystarczy podprowadzić rower na ul. Szymanowskiego 18 i poczekać, aż chłopaki doprowadzą rzeczy do ładu. Rozłąkę z jednośladem umili nam kawa z aeropressu, gruzińska kanapka lub ciacho dnia. A jeśli nasz wehikuł doznał poważniejszych defektów, możemy zgasić żal kieliszkiem włoskiego wina.

– Skąd inspiracja do stworzenia takiego miejsca? Z zachodu! – uśmiecha się Tomek Sulikowski, współwłaściciel lokalu. – W takich krajach jak Holandia czy Dania łączenie gastronomii z kulturą rowerową nie jest rzadkością. W Polsce na razie nie ma takich conceptów zbyt wiele, ale czas to nadrobić,

Zdecydowałeś się zostać rowerzystą na dobre i na złe? Wspaniale! Pierwszy krok to wybór odpowiedniego jednoślada i osprzętu. Pamiętaj, że Twój rower musi być dopasowany – nie tylko pod względem odpowiedniego rozmiaru ramy, ale i do tras, na których ma on służyć. Częstym błędem jest kupowanie roweru „do wszystkiego”. Na ścieżkę rowerową, na której nie mamy większych przewyższeń, niekoniecznie potrzebujemy szerokiego zakresu biegów. Te przydadzą się z kolei na weekendowej wycieczce po Kaszubach. Jeśli zakładamy również jazdę zimą, należy pamiętać o zmianie opon, a oprócz tego warto zastanowić się nad zakupem specjalnego roweru, stworzonego do jazdy w tym okresie.



zwłaszcza że powoli jako społeczeństwo przekonujemy się do roweru jako środka transportu. Do tego doszła nasza pasja do kawy, wina i dobrego jedzenia.

– Gdy wybieraliśmy miejsce na Składak,

poczuliśmy, że ulica Szymanowskiego będzie idealnym miejscem na tego typu lokal – dodaje Philip Szymankiewicz, drugi z założycieli Składaka. – Mamy tu szeroki, równy chodnik, starodrzew

Typy dla początkującego cyklisty

Philip Szymankiewicz
(Składak)





i spokojny klimat, zwłaszcza jak na sam środek miasta. Jest tu po prostu urokliwie i miło tu się zatrzymać.

Rowermistrzowie ze Składaka zapraszają więc na kawę i małe co nieco, a w naszym artykule podpowiadają, jak rozpocząć rowerowy rozdział w swoim życiu, bądź też wejść na wyższy poziom wtajemniczenia.

„Commuter” – dojazdy do pracy, środek transportu

☉ Rower powinien być dostosowany do naszych potrzeb. Jeśli ma nam służyć jako środek transportu, warto zainwestować nie tylko w sam jednoślad, ale i w odpowiednie akcesoria, które dodadzą naszemu rowerowi odpowiedni poziom „użytecznego komfortu”, np. sakwy, lusterka, lampy. Po pewnym czasie i tak stwierdzisz, że były to trafione inwestycje.

☉ Jeśli chcesz, aby rower był dla Ciebie narzędziem do codziennych dojazdów, warto do napraw podchodzić profilaktycznie, by uniknąć przykrych niespodzianek. Najlepiej przeprowadzić je przed sezonem wiosenno-letnim: zdarzają się wtedy zniżki na usługi, a terminy są dużo krótsze.

☉ Rower może być używany jako środek transportu przez cały rok, nawet zimą! Nie ma złej pogody na rower - są tylko złe ubrania rowerzyści. Sprawdź, w jakim stroju dobrze jeździ Ci się w różnych temperaturach i bądź gotowy na zmienne warunki.

Rekreacja i sport

☉ Bikefitting, czyli profesjonalne dopasowanie roweru do jeźdźcy, to obowiązkowy etap między zakupem jednoślada a rozpoczęciem regularnej jazdy. Specjalista pomoże Ci w uzyskaniu optymalnych ustawień roweru i obraniu prawidłowej pozycji jazdy.

☉ Nawet jeżdżąc okazjonalnie, warto zadbać o wygodę. Przed wyruszeniem w drogę poświęćmy więc trochę czasu na dostosowanie siodła, chwytów itp. Unikniemy w ten sposób uczucia odrętwienia rąk czy nóg podczas jazdy czy niespodziewanego bólu po powrocie do domu.

☉ Jeśli wybieramy się w dłuższą trasę, sprawdźmy ciśnienie w oponach. Bierzemy ze sobą dodatkowe dętki i zestaw multi-tool w razie awarii. Najczęstsze problemy, które zaskakują nas w trasie, to przebita dętka, zerwana linka od przerzutki/hamulca, a także poluzowanie lampki czy bagażnika. Część z nich można naprawić od ręki.

☉ „Kto smaruje, ten jedzie” – to na rowerze żelazna zasada, oczywiście w kontekście łańcucha. To kluczowy element roweru, który należy regularnie pielęgnować, a co pewien czas (po przejechaniu ok. 3 tys. km) wymienić. Serwisy rowerowe posiadają specjalny sprzęt do konserwacji łańcucha.

☉ Trzeba pamiętać o odpowiednim ubiorze. Istnieją ciuchy do biegania czy fitnessu, ale stroje dla rowerzystów to co innego. Warto o to zadbać - dla wygody, zdrowia i bezpieczeństwa. Najważniejszym elementem rowerowego outfitu jest oczywiście odpowiednie zabezpieczenie głowy. Kask pochłania do 70 proc. energii kinetycznej uderzenia, znacząco zmniejszając (o blisko jedną trzecią) ryzyko poważnego urazu głowy. Kluczowa, a bagatelizowana przez niektórych kwestia – kask musi być dokładnie zapięty! Rozpięty nie stanowi żadnej ochrony.

Extreme biking

☉ Rower przeznaczony do sportu wyczynowego zwykle jest delikatniejszy, a przy tym często dużo intensywniej eksploatowany. Liczmy się z tym, że będzie wymagał częstszego serwisowania

☉ Używając roweru do jazdy szosowej lub po lasach, wzniesieniach, poza utwardzonymi ścieżkami - warto zainwestować w pedały zatrzaskowe, dają one dużo większą kontrolę nad jazdą. Niezbędne jest też ponadstandardowe oświetlenie. Mrok nadchodzi niepostrzeżenie, zwłaszcza poza sezonem letnim!

☉ Każdą mocniejszą jazdę należy poprzedzić solidną rozgrzewką i rozciąganiem. A jeszcze wcześniej – zadbać o wypoczynek i odżywczy posiłek. Na duży wysiłek gotowy musi być nie tylko rower, lecz również jeździec.

☉ W czasie jazdy powinniśmy na bieżąco uzupełniać nawodnienie i poziom elektrolitów. Obowiązkowa jest więc butelka wody lub napoju izotonicznego – nie mylić z drinkami energetycznymi, które przyniosą odwrotny skutek.

Langfuhr

Offizierkasino d. II. Leibhus.-Regts.



Jan Daniluk

Pierwsza Galeria

I MUZEUM WE WRZESZCZU

Budynek kasyna oficerskiego w koszarach „Czarnych Huzarów” niemal natychmiast stał się jednym z symboli wilhelmińskiego Wrzeszcza. Mało osób wie, że pełnił funkcję także pierwszej instytucji kultury w dzielnicy: niewielkiego muzeum i galerii sztuki jednocześnie.

Reprezentacyjny gmach kasyna Brygady Przybocznej Huzarów, przed 1914 r. Przed bramą widać grupę cywili. Czy przystanęli, aby podziwiać zaparkowany przed kasynem samochód (widoczny na pocztówce), czy może zamierzają zwiedzić Salę Królewską...? Ze zbiorów Krzysztofa Gryndera.

Charakterystyczne, wielokrotnie uwieczniane na pocztówkach i zdjęciach kasyno oficerskie „Czarnych Huzarów” powstało w dwóch etapach. Pierwszym była budowa koszar przeznaczonych tylko dla I pułku przybocznego huzarów (1893-1896). Samo kasyno powstało w latach 1895-1896. Jego otwarcie - podobnie jak całego kompleksu - miało miejsce 3 października 1896 r. Cztery lata później rozpoczęto realizować po sąsiedzku kolejną inwestycję - budowę następnego zespołu koszarowego, przeznaczonego dla siostrzanego, sprowadzonego z Poznania, II pułku przybocznego huzarów. Rozbudowano więc (w kierunku zachodnim) także i kasyno - nowy człon był niemal identycznym, lustrzanym odbiciem starej części. Łącznikiem było reprezentacyjne, duże, prostokątne pomieszczenie, które pełniło funkcję dużej jadalni albo sali balowej. Była to Sala Królewska. Uroczyste otwarcie rozbudowanego kasyna, już jako kasyna Brygady Przybocznej Huzarów, zostało połączone z uroczystością zjednoczenia obu pułków w gdańskim garnizonie, która miała miejsce 14 września 1901 r. Jednym z punktów tego specjalnego dnia było m. in. umieszczenie w Sali Królewskiej dwóch sztandarów obu pułków. W kasynie odbyła się także kolacja korpusu oficerskiego i przedstawicieli władz, w tym cesarza Wilhelma II. Sama budowa kompleksu koszarowego ukończona została jednak dopiero w 1903 r.

BOGATE WNĘTRZA KASYNA

Wnętrze kasyna zostało w 1901 r. bogato wyposażone. Obok luksusowych mebli



Obraz *Walka o sztandar pułkowy pod Heilsbergiem*, 1900 r. Za: K.Olszański, Wojciech Kossak, Wrocław-Gdańsk 1979.



Wojciech Kossak w swojej berlińskiej pracowni podczas prac nad obrazem *Walka o sztandar pułkowy pod Heilsbergiem*, 1900 r. Za: K. Olszański, Wojciech Kossak, Wrocław-Gdańsk 1979.

na ścianach zawisł cały szereg obrazów, sztuk broni oraz innego wyposażenia wojskowego. Wśród dekoracji nowego kasyna znalazły się zresztą nie tylko wspomniane wcześniej sztandary huzarów, ale też wierne kopie pięciu francuskich sztandarów, jakie „Czarni Huzarzy” zdobyli w trakcie wojny siedmioletniej (oryginały były zdeponowane w zbrojowniach Berlina). Uroczystość przekazania ich jednostce miała miejsce jeszcze w styczniu 1899 r. Ozdobą Sali Królewskiej były jednak przede wszystkim trzy płótna autorstwa... polskiego malarza, Wojciecha Kossaka (1856–1942).

„BERLIŃSKI OKRES”

WOJCIECHA KOSSAKA

Obrazy powstały w czasie, kiedy Kossak mieszkał i pracował w Berlinie. Nieprawdą jest, że był „nadwornym malarzem cesarza Wilhelma II”, choć faktycznie jego obrazy cieszyły się uznaniem głowy rodu Hohenzollernów. Przepustką do sławy była przede wszystkim jego praca przy panoramie *Bitwy pod Raclawicami*. W kolejnych latach, właśnie przebywając w stolicy ówczesnych Niemiec, wykonał jeszcze dwie panoramy - *Berezynę* i *Bitwę pod Piramidami*. W trakcie tzw. okresu berlińskiego namalował kilkadziesiąt obrazów

ukazujących boje pruskie w XVIII i XIX w. Co znamienne, większość z jego dzieł w tym okresie przedstawiała... przegrane wojsk pruskich lub przynajmniej nierozstrzygnięte starcia. Jeśli były to wiktorie pruskie, to na samych obrazach nie widać było wyraźnie pogromu wrogich oddziałów (francuskich czy rosyjskich). Wyjątkiem w istocie były tu tylko dwa płótna – *Bitwa pod Zorndorf* oraz *Bitwa pod Jägersdorf*.

Zamówienie na obrazy dla „Czarnych Huzarów” złożono w 1899 r. W pierwszej kolejności – jesienią tego roku, już po powrocie z Hiszpanii, gdzie Kossak odbywał studia terenowe przygotowując się do wykonania panoramy szarzy pod Somosierrą – mistrz wykonał szkice, a następnie namalował największy z obrazów – *Walce o sztandar podczas bitwy pod Heisbergiem*. Kolejne dwa płótna ukończył już w 1900 r. Ciekawostką jest, że za modela do twarzy francuskiego pułkownika namalowanego na *Walce o sztandar...* posłużył malarzowi Józef Kotarbiński (1849-1928), polski literat, dramaturg i krytyk, którego Kossak przypadkiem w 1899 r. spotkał w jednej z berlińskich kawiarni.

WOJCIECH KOSSAK W GDAŃSKU

Wojciech Kossak przebywał w Gdańsku od 10 do 19 września 1901 r. (zatrzymał się w hotelu „Danziger Hof”),

aby osobiście nadzorować zawieszenie obrazów oraz przebieg drobnych prac retuszerskich oraz ich werniksowania. Brał udział oczywiście także w uroczystej paradzie z 14 września, choć zapamiętał ją przede wszystkim z powodu pewnego figla, który splotał mu cesarz Wilhelm



Sala Królewska w kasynie. Jej główną ozdobą były trzy, duże obrazy pędzla Wojciecha Kossaka (po prawej stronie widoczne są dwa z nich: *Bitwa pod Jägersdorf* oraz *Walka o sztandar pułkowy pod Heilsbergiem*, XXX. Ze zbiorów Krzysztofa Gryndera.

II, przeznaczając mu z cesarskich stajni powolnego i opornego wierzchowca. Był to rodzaj - jak sam określił Kossak - „zemsty cesarza” za pewien wcześniejszy incydent z udziałem malarza... Namalowanie obrazów dla ukochanych przez Wilhelma II „Czarnych Huzarów” stacjonujących w Gdańsku było jednym z ostatnich zleceń, które Kossak zrealizował dla Hohenzollerna. Przybierającą na sile nacjonalizm cesarza i gęstniejącą, nieprzyjazną, antypolską atmosferę w kręgach niemieckiej elity politycznej ostatecznie pchnęły malarza do podjęcia decyzji o opuszczeniu Berlina. W 1902 r. Kossak, po siedmiu latach pobytu w stolicy Niemiec, wyprowadził do Krakowa.

TRZY OBRAZY BATALISTYCZNE

Wszystkie zamówione obrazy Kossaka (razem z kilkoma innymi, mniejszymi, pędzla innych artystów) zawisły w Sali Królewskiej. Wszystkie były, jakżeby inaczej, o tematyce batalistycznej i związanej bezpośrednio z historią „Czarnych Huzarów”. Pierwszy zamówiony obraz przybliżał fragment bitwy pod



Szkic obrazu *Bitwa pod Jägersdorf*, 1899 r. Za: K.Olszański, Wojciech Kossak, Wrocław-Gdańsk 1979.

Heilsbergiem (obecnie: Lidzbarkiem Warmińskim) z 10 czerwca 1807 r., a dokładniej walkę huzarów o pułkowy sztandar (niem. Kampf um Regimentsbanner). Pruskie oddziały razem z rosyjskimi walczyły z oddziałami napoleońskimi. Płótno to było najszersze, mierzyło dokładnie 200 x 400 cm. Umiejscowione było centralnie na dłuższej ścianie Sali Królewskiej, flankowane przez dwa pozostałe obrazy Kossaka. Drugie, wspomniane już płótno o wymiarach 270 x 340 cm, zatytułowane było *Bitwa pod Jägersdorf* (niem. Schlacht um Groß-Jägersdorf). Przedstawiało szarżę pruskich huzarów na stanowiska rosyjskiej artylerii w bitwie stoczony 30 sierpnia 1757 r. pod obecnym Znamieńskiem w Obwodzie Kaliningradzkim. Trzeci obraz przedstawiał atak huzarów na francuskich kirasjerów w trakcie *Bitwy pod Düsselward* (niem. Gefecht bei Düsselward) z 2 czerwca 1758 r. Wymiary płótna wynosiły 170 x 300 cm.

GALERIA I MUZEUM „CZARNYCH HUZARÓW”

Salę Królewską i zdobiące je obrazy, a także wybrane, inne pomieszczenia kasyna, można było zwiedzać codziennie, także w niedziele, w godzinach popołudniowych, między 14.00 a 16.00. Wyjątkiem były dni, kiedy zaplanowane były uroczystości przeznaczone tylko dla

wojskowych. Jeśli była taka potrzeba, zwiedzający mogli wejść do kasyna także przed południem, ale pod warunkiem wcześniejszego umówienia się i rezerwacji. Koszt wstępu nie był wysoki i wynosił 1 markę Rzeszy, a dla zorganizowanych grup szkolnych (liczących jednak nie więcej niż 20 osób) - pół marki Rzeszy od ucznia.

ZAGINIONE PŁÓTNA

Możliwość zwiedzania wnętrza kasyna istniała przynajmniej do wybuchu I wojny światowej. Nie wiadomo, czy utrzymano te funkcje kasyna także w latach konfliktu. W związku z postanowieniami traktatu wersalskiego (czerwiec 1919 r.), na mocy którego Gdańsk i jego region miał zostać przekształcony w zdemilitaryzowane Wolne Miasto, rozpoczęto przygotowania do opuszczenia garnizonu przez wojsko. Jednostki administracji oraz same zredukowane już częściowo oddziały opuściły Gdańsk przede wszystkim w drugiej połowie stycznia oraz w pierwszych dniach lutego 1920 r. Najpewniej obrazy Kossaka z Sali Królewskiej właśnie w tym okresie także opuściły miasto. W 1920 r. w kasynie przesłane do Gdańska oddziały Ententy urządziły wojskowy szpital. Raczej wątpliwe, aby niemieckie władze zdecydowały się pozostawić cenne obrazy w opuszczanym kasynie... Nie ma o nich także ani słowa w późniejszym okresie, kiedy w dawnym kasynie „Czarnych Huzarów” funkcjonowało tzw. Niemieckie Kasyno - miejsce



Rzadziej spotykana perspektywa na gmach kasyna od strony południowej, przed 1914 r. Ze zbiorów Henryka Jursza.

spotkań członków klubu zrzeszających przede wszystkim przedstawicieli niemieckiej, nacjonalistycznej elity międzywojennego miasta. Czy obrazy Kossaka były prezentowane w kasynie w nowym garnizonie, w Białogardzie, gdzie stacjonowały jednostki złożone częściowo z byłych „Czarnych Huzarów”? A może płótna ozdobiły prywatne posiadłości zaufanych byłych oficerów? A jeśli tak, to czy padły ofiarą pożogi II wojny światowej, czy może przetrwały, i dziś znajdują się w prywatnych kolekcjach lub któregoś z muzeum w Rosji? Zagadka zaginionych obrazów mistrza Kossaka z Wrzeszcza nadal czeka na rozwikłanie.



JAN DANILUK – dr historii, pracuje w Hevelianum. Badacz i popularyzator historii Gdańska i Sopotu (XIX–XX w.), w szerszej perspektywie zajmuje się także historią II wojny światowej oraz Rzeszy Niemieckiej (1933–45). Autor m.in. artykułów historycznych na portalu Trojmiasto.pl i współautor publikacji poświęconych historii Wrzeszcza. Strona domowa: www.jandanieluk.pl.



Jakub Gawron

MÓZG NA TALERZU

Przywitajmy się categorycznym i przewrotnym stwierdzeniem – gastronomia nie jest po to, by kelner i kucharz dostali wypłatę, a przedsiębiorca zgarnął wartość dodaną do kieszeni. A już na pewno gastronomia nie jest po to, byście mogli zjeść obiad czy wypić piwo. Bo umówmy się – każdy z nas może to spokojnie zrobić w domu.

W dzień targowy...



Bez wszelakich ceregieli związanych z realizacją naturalnej ludzkiej potrzeby, jaką jest uczestniczenie w szeroko pojętym życiu społecznym. Bez żmudnego dobierania spodni do koszuli, bez analizowania, jaki zapach na nas lepiej zagra tego ciepłego wieczoru, bez dylematów, jakie przystrojenie oka lepiej odda naszą drapieżność. Bez zastanawiania się, kogo poznamy, a z kim się pokłócimy i czy to ten fajny barman będzie dzisiaj podawał nam nasze ulubione lekarstwo na rzeczywistość, czy raczej będziemy skazani na tego nieżnośnego introwertyka, który najwidoczniej zagubił się na krętych ścieżkach kariery. Bez tych niekończących się dylematów, czy dzięki zaognionej dyskusji wrócimy do domu o pierwszej w nocy, czy może jednak noc wypuści nas ze swoich objęć dopiero o 5 nad ranem, zmęczonych, ale bogatszych o nowe znajomości i świeże czy też kontrowersyjne spojrzenie na bieżące sprawy. Pomimo porannego zmęczenia i tak to powtórzmy – bo nic tak nie pomaga i nie wzbogaca jak nowe doznania i nowe znajomości, a to czeka właściwie za progiem. Wystarczy dać się porwać.

Jakkolwiek nie nazwalibyśmy naszych ulubionych przybytków – barem, restauracją, pubem czy swojskim bistro – to są to miejsca, gdzie najczęściej zaczynają się nasze przygody, które pamiętamy



Stoisko sklepu Oficyna na Gdańskim Bazarze Natury.



latami, okresy socjalizacji. To właśnie te momenty, których wspomnienia wracają do nas w intensywniejszych kolorach. Czujemy i pamiętamy chociażby zapach rozgrzanych skał, kiedy siedzieliśmy w tawernie na śródziemnomorskiej wyspie i próbowaliśmy rozwikłać rachunek podany przez uroczego Greka. Wraca do nas obłądny miks rozmarynu i tymianku rosnącego przy ochrowej drodze w jakiejś zapadłej prowansalskiej wiosce, gdzie cały koncept gastronomiczny to dwa stoły, szczątkowa kuchnia i kelner/właściciel/kucharz/maitre jakimś niewytłumaczalnym cudem upchnięci w jednym przedstawicielu

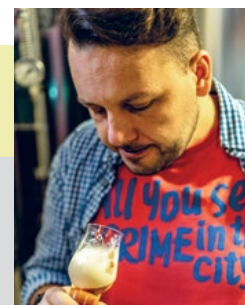
homo sapiens. Albo to letnie bretońskie słońce, gdy siedząc okrakiem na nadmorskim murze rybackiej miejsciny zajadaliśmy się ostrygami, przed chwilą wyrwanymi wodom zatoki Mont Saint-Michel. Najbardziej dramatycznym aspektem tych reminiscencji jest to, że – wspomagając się łzawymi wersami ulicznego poety – już nigdy ośmiornica nie będzie tak krucha, wino różowe tak orzeźwiające i zrozumiałe dla naszego podniebienia. A ostryga tak cudownie przyswajalna...

Ten paraboliczny i radosny eskapizm jest po to, by właściwie oddać zestaw bodźców, który towarzyszy nam przy korzystaniu z naszej lokalnej gastronomii. Często przez to, że nie jesteśmy tysiące kilometrów, a jedynie 200 metrów od swego domu, zdaje się nam, że nic ciekawego nas nie spotka. Błąd! Peregrynując przez najbliższe nam okolice, często możemy wpaść w klimaty Azji, narażając się też na kontakt z przejawami rzemiosła piwowarskiego – czy to lokalnego czy z odległych stron naszego kraju.

Możemy też oddać się narodowemu hobby (tak wskazują ostatnie badania) i wejść w skórę krytyka włoskich placzków z dodatkami – idea których przyjechała notabene z Chin wraz z pewnym awanturczym podróżnikiem. Dwa razy w tygodniu w białym namiocie możemy spotkać pasjonatów, którzy zaciągnąwszy potężny dług snu, by dotrzeć na poranny targ, przywiezłą nam warzywa z Francji. Będzie też przemiała fanatyczka fermentacji warzyw wszelakich z pobliskiej Warmii, czy zakręcony pan, który z samego mleka namnożył sobie dwa tuziny różnych produktów na swój nabiałowy kramik. I to wszystko właściwie nie ruszając się z leżaka na trawniku – na największym miejskim placu zabaw gastronomicznych. A jeżeli zdecydujemy się na zanurzenie, interakcję i zaprzyjaźnienie się z lokalnymi twórcami sceny gastronomicznej, nasza okolica nabierze cudownych rumieńców.

Do zobaczenia zatem – przy stoliku, na leżaku czy bazarowym stoisku!

JAKUB GAWRON – główny piwowar w browarze Vrest. Entuzjasta gotowania – zarówno w garnkach o standardowych wymiarach, jak i tych o pojemności kilkudziesięciu hektolitrów. Za pożądanym składnikiem do kolacji jest w stanie objechać całe Trójmiasto i nie tylko. Kontemplator gastronomii.



HANDLOWY WRZESZCZ

Jarosław Wasielewski

Gdyby zapytać mieszkańców Trójmiasta o ich skojarzenia związane z Wrzeszczem, to zapewne wśród odpowiedzi wysokie miejsce zajęłby handel. Nic dziwnego – ostatecznie w dzielnicy działają aż trzy galerie handlowe. Wbrew pozorom jednak skojarzenie to jest o wiele bardziej uzasadnione, niż by się mogło wydawać. Otóż jednym z katalizatorów historii naszej dzielnicy były właśnie handel i kupiectwo.

Osią Wrzeszcza od początku jest biegnący jego środkiem fragment Via Mercatorum, czyli dawnej drogi kupców, głównego szlaku handlowego prowadzącego z południa nad Zatokę

Gdańską (to po jej śladzie biegnie dziś al. Grunwaldzka). Wzdłuż fragmentu tego pradawnego traktu, niedaleko młynów zlokalizowanych nad brzegami Strzyży, najpóźniej w XIII wieku powstała wieś Wrzeszcz (*Vrieszt*).

Ową bitą drogą łączącą Gdańsk (dziś jego historyczne śródmieście) z klasztorem cystersów w Oliwie przemierzali kupcy, dla których z czasem we wsi Wrzeszcz powstały pierwsze zajazdy

Perspektywa dawnego wrzeszczańskiego rynku po przebudowie na pocztówce z ok. 1920 roku, widok od strony północnej. Zwracają uwagę liczne markizy ocieniające witryny sklepowe. W okazałym budynku po prawej stronie przez kilkadziesiąt lat działał Dom Handlowy Nathana Sternfelda (*Kaufhaus Nathan Sternfeld*) (zbiory Krzysztofa Gryndera).



i karczmy. Najwięcej skupiło się ich wokół miejsca, gdzie z traktem zbiegały się drogi prowadzące do okolicznych wsi i majątków: Piecek, Jaśkowej Doliny, Srebrzyska, Kuźniczek i Nowych Szkotów. To tu właśnie wykształcił się wiejski rynek (dziś jest to fragment al. Grunwaldzkiej na wysokości Centrum Handlowego Manhattan), na który w dzień targowy ściągali mieszkańcy bliższych i dalszych okolic, by handlować między sobą oraz właśnie z przejeżdżającymi tędy kupcami.

HANDLOWE PRZEDMIĘCIE LANGFUHR

Tak było do przełomu XIX i XX wieku, kiedy to Wrzeszcz (wówczas *Langfuhr*) – już w granicach miasta – zaczął zmieniać się w wielkomięjską dzielnicę. Przy rynku



Postawiony w 1990 roku kompleks niewielkich pawilonów nazywanych „Manhattanem” jest bezpośrednim poprzednikiem galerii handlowej o tej samej nazwie; 1993 rok (fot. Maciej Kosycarz / KFP).

Dawny rynek we Wrzeszczu na pocztówce z końca XIX wieku, widok w kierunku Oliwy; fotograf uchwycił dzień targowy (zbiory Krzysztofa Gryndera).



zaczęto stawiać cztero- i pięciokondygnacyjne eklektyczne kamienice, w których oprócz mieszkań, lokali gastronomicznych czy punktów usługowych lokowano także pierwsze wrzeszczańskie sklepy. Na początku XX wieku działał tu już m.in. sklep kolonialny i delikatesy, piekarnia, pasmanteria oraz duża kawiarnia z cukiernią. Sklepy zaczęły powstawać także w innych częściach dzielnicy, na parterach kamienic stawianych przy nowo wytyczanych ulicach. W zależności od lokalizacji oferowały one towary na każdą kieszeń: i dla mieszkańców skromnych kolonii robotniczych wybudowanych w okolicy dzisiejszego klubu Żak oraz politechniki, i dla milionerów (zresztą często będących kupcami), rezydujących w okazałych willach w Jaśkowej Dolinie.

Do wrzeszczańskich sklepów przy głównej ulicy ściągali chętnie także mieszkańcy innych części szybko rozwijającego się Gdańska. Do ich dyspozycji w okresie międzywojennym – poza zwyczajowymi piekarniami, cukierniami, sklepami kolonialnymi, mięsnymi czy tymi z alkoholem – były m.in.: sklep tytoniowy, nasiennicy i kwaciarnia, rybny, z zabawkami, z czapkami, tekstylny i z galanterią skórzaną, z wyrobami gumowymi i wyposażeniem łazienek, z artykułami żelaznymi, a także księgarnia, papiernicy, jubiler, perfumeria oraz kilka aptek. A najdosłowniejszym przybytkiem w tym przebogatym towarzystwie był działający przy wrzeszczańskim rynku elegancki Dom Handlowy Nathana Sternfelda (*Kaufhaus Nathan Sternfeld*).

CENTRUM HANDLOWE GRUNWALDZKA

Wiosna 1945 roku przyniosła historycznemu śródmieściu Gdańska zagładę.

Życie odradzało się przede wszystkim we Wrzeszczu – początkowo samorzutnie, spontanicznie. Ściągający ze wszystkich stron przedwojennej Polski nowi mieszkańcy handlowali na skwerkach

i placach, ci zamożniejsi zaś wnosili naprędce wzdłuż częściowo zburzonej wschodniej pierzei al. Grunwaldzkiej parterowe i piętrowe domy, w których lokowali prywatne sklepiki (wkrótce przy poszerzaniu ulicy wyburzone). Praktycznie w każdym budynku przy al. Grunwaldzkiej – czy to ocalałym, czy zbudowanym od podstaw – parter przeznaczano na sklepy. Po krótkiej wojennej zawierusze ucywilizowany handel wracał do dzielnicy – chociaż w odmiennych warunkach politycznych i gospodarczych. Akcentowało ten fakt



Oddany do użytku w 1994 roku Dom Handlowy „Jantar” przy skrzyżowaniu ul. Do Studzienki z al. Grunwaldzką – pamiątka po pionierskich czasach kapitalizmu w Gdańsku (fot. Jarosław Wasielewski).

Oddanie do użytku w 2007 roku Galerii Bałtyckiej potwierdziło mocno zakorzenione tradycje handlowe dzielnicy



Centrum Handlowe Manhattan przy dawnym wrzeszczańskim rynku kontynuuje tradycje tego miejsca sięgające wiele wieków wstecz (fot. Jarosław Wasielewski).



otwarcie w 1951 roku Powszechnego Domu Towarowego „Neptun” (dziś w jego miejscu stoi Centrum Biurowe Neptun), jednego z „kultowych” miejsc na mentalnej mapie chyba każdego starszego mieszkańca Trójmiasta. Przez cały okres PRL-u był to największy dom towarowy w Gdańsku, utwierdzający pozycję Wrzeszcza jako dzielnicy handlowej.

A o tej stanowiło bogactwo reprezentowanych branż. W szczytowym momencie działały tu m.in. sklepy: Arged z artykułami AGD, Chemia z – a jakże – artykułami chemicznymi i przemysłowymi, Dom Książki, sportowy Maraton, kilka sklepów odzieżowych ze słynną Modą Polską na czele, sklepy obuwnicze, apteki, delikatesy, jubiler, sklepy z galanterią skórzaną, artykułami zielarskimi czy hydraulicznymi, Składnica Harcerska ze sklepem modelarskim, sklep Cepelii, a także Baltona i Pewex, oferujące – za dolary – artykuły importowane z krajów kapitalistycznych.

Aleja Grunwaldzka była więc ulicą handlowo-usługową, wieczorami rozświetlaną pomysłowymi neonami wabiącymi

klientów. Co prawda z zaopatrzeniem – jak to w tzw. realnym socjalizmie – bywało różnie, jednak faktem jest, że na zakupy przyjeżdżano tu z całego Trójmiasta i okolic.

KAPITALISTYCZNA PROWIZORKA

Zmiana ustroju polityczno-gospodarczego po roku 1989 na chwilę wypchnęła handel znów na ulicę. Niczym w pierwszym okresie powojennym znów zapanowała spontaniczność – po dekadach ograniczeń, Polacy rzucili się do kupowania i sprzedawania. Nic dziwnego zatem, że w różnych miejscach dzielnicy jak grzyby po deszczu wyrastały większe i mniejsze ryneczki, na których handlowano czasem prosto z bagażnika samochodu.

Bardziej ambitni kupcy rozpoczęli epokę dosyć trwałej prowizorki. I tak na tyłach kamienic stojących przy dawnym wrzeszczańskim rynku postawiono kilkadziesiąt pawilonów, nazywanych żartobliwie Manhattanem (dały one początek zbudowanemu w kolejnej dekadzie centrum handlowemu o tej samej nazwie). Nieopodal, w budynku dawnej zajezdni powstało Centrum Handlowe „Sukces”

oraz dobudowane obok „Sukces-Bis” (obecnie na ich miejscu stoją wieżowce Quattro Towers). Natomiast przy skrzyżowaniu al. Grunwaldzkiej z ul. Do Studzienki postawiono naprędce Dom Handlowy „Jantar”. Nowe, prywatne już sklepy urządzały się także w lokalach zwolnionych przez sklepy państwowe, stopniowo prywatyzowane bądź upadające.

NOWA FORMA, STARA TREŚĆ

Pierwsza dekada XXI wieku wysłała handel z głównej ulicy Wrzeszcza. Zgodnie ze światowym trendem sklepy zaczęły masowo przenosić się do budowanych specjalnie w tym celu galerii handlowych: wspomnianego Manhattanu, Galerii Bałtyckiej, a w ostatnich latach także Centrum Metropolia. I wydawało się, że tak już zostanie.

Jak pokazał jednak ostatni rok, w czasach zarazy taki skoncentrowany model handlowania ma poważne ograniczenia. Powrót do spontanicznego handlu pod chmurką zapewne nam nie grozi, ale kto wie, może wkrótce sklepy wyprowadzą się z molochów z powrotem na partery budynków przy al. Grunwaldzkiej, przywracając im życie?

Jedno jest pewne: cokolwiek przyniesie przyszłość, Wrzeszcz pozostanie handlowy.

JAROSŁAW WASIELEWSKI – badacz i popularyzator historii Gdańska, współautor m.in. serii albumów Wrzeszcz na dawnej pocztówce, publikuje na portalu Trójmiasto.pl oraz w czasopiśmie 30 dni, pisze także bloga: jarekwasielewski.pl/zwrzeszcza



FOT. SANDRA SKWIERAWSKA



Utrata Zmysłów

DWA LATA WCZEŚNIEJ

Poczuł dziwne ukłucie na policzku. Poruszył głowę i nie otwierając oczu wyciągnął lewą rękę, aby na głowę naciągnąć kołdrę. Zawsze tak robił, kiedy chciał wrócić do snu, który śnił przed przebudzeniem. Ciemność, ciepło i cisza pod kołdrą natychmiast pomagały, chociaż często się zdarzało, że zaczynał śnić zupełnie inny sen.

Kiedy wyciągnięta dłoń nie znalazła materiału powłoczki mocniej zacisnął powieki i uniół się na łokciu. Nagle poczuł zapach.

Dobrze go znał. Woń czekolady, bergamota i paczula z drzewem sandałowym. Wszystko idealnie zmieszane i zamknięte

mgielką czegoś bardzo słodko pikantnego. Tym bardziej pikantnego, im mocniej mieszał się z wonią kropelek potu, gdy całował jej skórę lub włosy. Ale także, gdy docierał do jego nozdrzy z wydechany przez nią powietrzem. Dyszała ssąc jego ucho lub szeptała liżąc skórę na jego szyi, a ogrzane powietrze przeciskało się między ich twarzami i przenosiło ten zapach do jego nosa. Niekiedy miał wrażenie, że wyraźnie czuje jego słodkość także na wargach i języku. Chociaż to nielogiczne i biochemicznie niemożliwe – nawet ta czekolada w zapachu jej perfum była w tak minimalnym cząsteczkowym stężeniu, że w żaden sposób nie mogła pobudzić receptorów kubków smakowych na czymkolwiek języku – jemu wówczas wydawało się, że ślina na języku i ta, którą przełyka, nasyciona jest smakiem i bergamoty, i paczuli, ale najbardziej tej gorzko-słodkiej czekolady doprawionej solą z jej potu.

Kiedy odeszła, bardzo cierpiał. Długo i żałobnie. Czuł się jak porzucony pies. Już go nie kochamy, przestał być potrzebny, więc po co on nam? Po drodze na urlop uwiązemy go do drzewa w lesie i sobie odjedziemy. Jeśli ktoś go znajdzie, to dobrze. Jeśli nie? No cóż. To tylko pies... Tak sobie wtedy, cały ten jej plan porzucenia i odejścia od niego, wyobrażał. Dzisiaj wie, że się bardzo mylił. Cierpienie tego psa jest tak wielkie, że dla normalnego człowieka nie do wyobrażenia. Nieporównywalne z żadnym innym cierpieniem.

On już w pierwszym momencie dowiedział się, a w innym momencie zrozumiał, że przestał być kochany. Pies tego nie dowiedział się nigdy. Kochał swoich oprawców do samego końca. Nawet kiedy

umierał z braku wody, z głodu, z wycieńczenia, a być może także z samotności, nie przestawał tęsknić za nimi. Wąchając smycz lub sznur, którym uwiązano go do drzewa do samego końca wywąchiwał jego najbardziej ukochany zapach, ten najważniejszy, zapach jego ukochanych ludzi. Do samego końca ten pies kochał tych, którzy go najbardziej zdradzili. Wyl z tęsknoty za nimi. Do ostatniego oddechu czekał. Nie-sprawiedliwość cierpienia. Niewyobrażalnie okrutna.

Pamięta, że przez długi czas po jej odejściu przesładował go koszmarny sen. Śniło mu się, że jest rozłożystą sosną, która przygląda się ludziom przywiązującym psa do jego pnia. Potem dniem i nocą obserwuje nieświadomie, co się dzieje. Na początku słyszy jego nieprzerwane, dzikie ujadanie, potem skowyt, a na końcu tylko ciche kwilenie. Czuje na swojej korze każde pociągnięcie sznura. Chce mu coś powiedzieć. Kołysz gałęziami, trzeszczy. W pewnej chwili z bezsilności, widząc jak pies kona, usycha ze wstydu. Chociaż to nie jest jeszcze jesień, zrzuca wszystkie swoje igły, aby uspać z nich nad pokrytym sierścią szkieletem psa mogiłę. Makabryczny sen, z którego za każdym razem budził się z krzykiem przerażenia. Chciał utulić tego psa. I zanim odejdzie, przeprosić za ludzi, którzy go porzucili.

Przez czas największej rozpacz i tęsknoty, tych pierwszych kilku miesięcy na początku, każde wspomnienie o niej na nowo rozdrapywało rany i jak nagle smagnięcie biczem sprawiało ból. Wspomnienie jej zapachu nawet bardziej dotkliwy, bo natychmiast kojarzyło się z ich intymnością. Poradzić sobie z innymi śladami po niej było łatwiej. Omijał miejsca, w których bywali razem, zerwał – to nie było ani rozsądne, ani sprawiedliwe, a tak naprawdę żenująco głupie; dzisiaj wstydz się tego - kontakty z wszystkimi ludźmi, których ona wprowadziła do jego życia. Nie słuchał muzyki, której kiedykolwiek razem słuchali. Zniósł do piwnicy i zamknął w kartonie książki, które sobie na głos czytali.

Skrupulatnie i z rozmysłem usuwał wszystkie przedmioty, które się z nią kojarzyły. Zaczął od łóżka w sypialni, a skończył na kilku szczęśliwie ocalałych filiżankach z porcelany.

Uwielbiała smak herbaty i perfekcyjnie знаła wszelkie najdrobniejsze subtelności obiektu swojego uwielbienia. Potrafiła rozróżnić smak Rooibos z Cederberg (to tam, gdzie powinna rosnąć) od smaku podróbek z innych regionów Południowej Afryki. Nawet nie wiedział, gdzie leży ten afrykański Cederberg, a o tym, że pije jakiś Rooibos dowiedział się dopiero, gdy mu o tym powiedziała. Przed nią herbaty dzielił na trzy rodzaje: te w torebkach, te sypane i ta miętowa, gdy boli żołądek.

Także to zmieniła w jego życiu. Zwoził więc z najróżniejszych zakątków świata najbardziej egzotyczne herbaty i nie mniej egzotyczne porcelanowe filiżanki. Wcale nie z nagłej miłości do herbaty ani z powodu nagłej fascynacji porcelaną. Był tylko jeden powód: pragnął sprawić jej radość. Nawet jeśli w swoich podróżach miał bardzo mało czasu - a tak było najczęściej, bo wysyłająca go korporacja to nie biuro podróży - musiało być go na tyle, aby zdążyć kupić jakąś egzotyczną herbatę, a potem przeszukać sklepy lub bazy i wyszperać jakieś porcelanowe cudo. Najcenniejszym była filiżanka, którą znalazł na pchlim targu pewnej deszczowej soboty w Dreźnie. Miśnieńska miniaturka na dwa łyki herbaty. Leżała przewrócona na zakurzonym podstawku przygnieciona elektrycznym zardzewiałym czajnikiem z czasów minionego, ale otaczanego nostalgicznym kultem NRD. Czajnik był wyjątkowo brzydki, dwadzieścia razy większy, ale tylko dziesięć razy droższy niż małe filiżanka z pozłacanym uszkiem. Mimo to była tak tania, że nie zastanawiał się ani chwili. Nawet gdyby była tylko wyrefinowaną chińską podróbką miśnieńskiego oryginału, warta była każdego euro.

Miśnię z Dreznem łączy podmiejska kolejka. Po swoim wykładzie skłamał, że nie czuje się najlepiej, i pojechał, aby

zobaczyć na własne oczy to „kultowe” miejsce, o którym mu często i z zachwytem opowiadała. Zabrał ze sobą filiżankę z bazaru w Dreźnie. Na jego prośbę przewodnik po fabryce porcelany przywołał eksperta, który orzekł rzecz niesłychaną. Na pchlim targu w Dreźnie trafił na najbielszego kruka pośród wszystkich białych. Małe filiżanka powstała w połowie osiemnastego wieku! Tuż po założeniu manufaktury w Miśni. Czuł podniecenie myśląc o radości, którą jej sprawi.

Pośród szczęśliwie ocalałych miśnieńska się znalazła. Tylko dlatego, że ze względu na swoją wartość stała na najwyższej półce regału z książkami. Obok trzech innych. Dwóch z Tajwanu i jednej z Kambodży. Były jeszcze starsze niż ta niemiecka. Resztę roztrzaskał o parkiet w kuchni tamtego pamiętnego wieczoru.

Czekał na nią, przygotowując kolację. Spóźniła się. Kiedy weszła, mieszała sałatkę w półmisku. Nie zdjęła płaszcz. Mijając go bez słowa przeszła do sypialni. Po kilku minutach stanęła przed nim. Poczł ten zapach. Nie był słodki. Wymieszany z jej oddechem nasyconym kwaśnym, przetrawionym winem, był obcy. Był bardziej smrodem niż zapachem. Między nimi stała walizka. Zagryzała wargi i patrzyła mu w oczy.

- Nie kocham cię. Od dawna już cię nie kocham. Miejmy to już za sobą, okay? - wycedziła przez zęby.

Pamięta, że stał oparty o blat kuchni z łyżką i widelcem w dłoni i nie rozumiał, o czym mówi.

Opuścił wzrok i milcząc, przypatrywał się kroplom oleju kapiącym z widelca na podłogę.

- Słyszysz?! - wykrzyknęła i sięgnęła do kieszeni płaszcz i rzuciła pękiem kluczy, które wylądowały w półmisku z sałatką.

- Co mamy mieć za sobą? Dlaczego? - zapytał spokojnie cichym głosem, odwracając się do niej plecami.

Wsunął dłonie do półmiska, szukając kluczy. Do dzisiaj nie rozumie, dlaczego te klucze były wówczas tak dla niego ważne. Kiedy je wydobyl spod liści sałaty, ociekały

łuszczem zmieszany z drobinkami posiekanej bazylii, przyklejonymi do skórzanego breloczka.

- Dlaczego kurwa co?! – wrzasnęła, szarpiąc go za ramię.

Dokładnie w tym momencie zadzwonił jej telefon.

- Zaraz schodzę, Ralph, jeszcze chwila. Załatwiam to. Nie musisz jechać na parking. Szkoda kasy. Za moment schodzę - powiedziała cicho do słuchawki.

Pęk kluczy wyslizgnął mu się z dłoni i upadł do półmiska. Poczul nieznaną mu irytację, a zaraz potem gniew i niepokromioną złość. Uniósł rękę i pięścią rozbił witrynę kredensu. Wypadające talerze wylądowały z hukiem w zlewozmywaku. Sięgnął po porcelanową filiżankę i roztrzaskał ją o podłogę. Potem po kolejną. Skończył, gdy półki w kredensie były puste. Podłogę wokół walizki i jej stóp pokryła biała sterta odłamków rozbitej porcelany. Przez chwilę kiwała głową, patrząc na niego z politowaniem. Potem kolanem przewróciła walizkę na leżące odłamki i stanęła na niej dociskając do podłogi. Słyszał chrobot ugniatananej porcelany. Wychodząc, nie spojrzała na niego. Wypchnęła walizkę na korytarz i bez słowa trzasnęła drzwiami. Nigdy więcej od tamtego momentu jej nie widział.

Ze wspomnieniami jej zapachu nie było tak prosto jak z porcelaną. Zawsze gdzieś nieoczekiwanie się pojawiał. W windach, na korytarzach hoteli, przy drzwiach do perfumerii w galeriach handlowych, w salach teatrów, filharmonii czy kin. Niekiedy, wcale nie rzadko, zawisał w powietrzu biur korporacyjnych wieżowców podczas biznesowych narad, w których brał udział. Zapach, który wówczas - gdy byli razem - wydawał się mu jako absolutnie tylko jej przynależny, jedyny we wszechświecie, okazał się być powszechny, a po pewnym czasie zwyczajnie pospolity.

Z biegiem czasu, kiedy mniej było w nim rozpacz, a więcej żaloby, zapach wprawdzie przypominał mu utratę, wywoływał smutek, ale nie było w tym cierpienia. W którymś momencie - nie pamięta

dokładnie, kiedy nadszedł - wspomnienie tego zapachu stało się jedynie powodem do krótkiej myśli o tym, co bezpowrotnie minęło. Ta myśl nie bolała, ale drażniła. Wszystko inne wyblakło jak fotografia pozostawiona na słońcu. Tylko ten zapach trwał.

Zostawiła go, gdy mieszkali we Frankfurcie. Poprosił swojego szefa o przeniesienie jak najdalej się da. Widząc, co się z nim dzieje, o nic nie pytał. Przeniósł go tak szybko, jak było to możliwe. Do oddziału ich korporacji w Singapurze. Dalej się nie dało, bo ani w Sydney, ani w Wellington nie było wakatów.

Szefem w Singapurze był Włoch. Nie tylko wyglądał jak mafioso, ale i rządził firmą jak ojciec chrzestny. Był postrachem wszystkich pracowników, od sprzątaczkę po swojego zastępcę, za to szefostwo korporacji go uwielbiało i rokrocznie nagradzało go najwyższymi premiami, ponieważ placówka w Singapurze od lat przynosiła firmie najwyższe zyski.

Chociaż nie mówił po włosku, pytany twierdził, że jest sycylijszym z Palermo. Tak naprawdę, to jedynie się tam urodził i krótko mieszkał. Miał tam na imię Riccardo. Pewnego dnia - Riccardo miał wówczas niecałe dwa lata - rodzice jechali samochodem z Palermo do Cefalù. W jednym z tuneli po drodze jego ojciec zasnął. Uderzyli w ścianę, samochód się zapalił. Odważny kierowca ciężarówki z Jugosławii wydobyl go, zanim ogień dotarł do tylnego siedzenia, gdzie zamroczony dymem leżał w wózku. Jego rodzice spłonęli, on przeżył. Praktycznie nic mu się nie stało. Tak ocenili lekarze. O tym, że stracił węch, dowiedział się dopiero pięć lat później. W Singapurze, gdzie zamieszkał z nowymi rodzicami, którzy go adoptowali i zmienili mu imię na Richard.

W samochodzie, którym jechał jako dziecko, nie utracił życia, ale utracił powonienie. Całkowicie i bezpowrotnie. Lekarze nazywają tę chorobę anosmią. Na pytanie, dlaczego tak się stało, odpowiadają, że

prawdopodobnie z powodu urazu głowy, która z ogromną siłą uderzyła o szybę samochodu. Uderzenie zlikwidowało zmysł węchu, ale - o dziwo - wspomnień zapachów wykasować nie zdołało. Nawet dwulatek ma wspomnienia. Nie pamięta obrazów, smaków, dźwięków, ale dziwnym trafem zapachy tak. I to jest prawda. Richard z Singapuru jako mały Riccardo z Palermo zapamiętał jak wstrętnie pachnie dym z papierosa jego ojca, pamięta też zapach z kuchni z jego domu w Palermo i dziwny zapach, którego nie potrafi z niczym oprócz przytulności, bezpieczeństwa i absolutnego szczęścia utożsamić. Lekarze od węchu mówią mu, że to musi być zapach, który zapamiętał ssąc mleko z piersi jego matki. Zapach tak pierwotny jak pierwotne są komórki macierzyste. Twierdzą też, że gdyby podczas wypadku Riccardo węchu nie utracił, nigdy by tego zapachu nie rozpoznał. Według innych z kolei lekarzy mogło się także zdarzyć na odwrót. Mógł zmysł węchu zachować, ale wówczas na stałe w pamięci zachowałby też zapach palonych ciał swoich rodziców i przez całe życie cierpiałby z powodu tej traumy. Kiedy rozmawiał o tym z Richardem, zastanawiał się niekiedy, czy on też pamiętałby ten jej zapach, nawet, gdyby całkowicie utracił węch...

Zapach nie słabł. Otworzył oczy. Jego usta zasłaniała dłoń pochylonej nad nim młodej kobiety. Patrzyła na niego przestraszona. Podniósł się gwałtownie. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że nie jest w swoim łóżku i nie ma żadnej koldry. Jest na lotnisku.

- Bardzo pana przepraszam. Próbowałam pana obudzić, ale... - szepnęła.

- Ale co?! - przerwał jej, nie rozumiejąc, co chce od niego ta kobieta.

- Ale się pan nie budził. Dlatego..., dlatego zakryłam panu usta - odparła, stając przed nim.

- Ale dlaczego? - zapytał dalej, nie rozumiejąc.

- Bo..., bo mówił pan przez sen. Po niemiecku. Klął pan jednak po polsku. Rozmawiał pan w tym śnie z kimś. I to było..., powiedzmy, że bardzo osobiste. Zaczęli zatrzymywać się obok pana ludzie. I się przysłuchiwać. Pomyślałam, że pan by tego nie chciał...

Przez chwilę dochodził do siebie, rozglądając się wokół. Kiedy zasypiał na tej ławce lotnisko było niemal puste. Teraz halę wypełniał tłum śpiących się ludzi. Zaczynał rozumieć.

- Nie chciałym. To prawda. Skąd pani wie, że kląłem po polsku? – zapytał, badawczo się jej przypatrując.

- Moja mama była Polką - odparła i odsuwając jego plecak, przysiadła się do niego.

- Kiedy była bardzo zła na mnie lub na ojca, to klęła po polsku. Uważała, że niemiecki to kaleki język, bo nie da się w nim w ogóle kląć. Ani ja, ani ojciec tego oczywiście nie rozumieliśmy, ale tak naprawdę nie potrzebowaliśmy rozumieć. Chociaż ja bardzo chciałam. Kiedy miałam pięć lat bez akcentu potrafiłam powiedzieć „no kurwa o co ci chodzi?”. Kiedy pokłóciłam się z koleżankami w przedszkolu, to powtarzałam to po mamie. One oczywiście nic nie rozumiały, a ja miałam radość, że są takie głupie.

- Dlaczego więc pani do mnie mówi po angielsku? - zapytał głośno się śmiejąc.

Nie odpowiedziała. Pośpiesznie oddaliła się kilka kroków od niego i wyciągnęła telefon z kieszeni swoich jeansów. Przez chwilę coś czytała, uśmiechając się do siebie. Potem usiadła na posadzce lotniska opierając się plecami o gigantyczną kamienną donicę, z której wyrastała naturalnych rozmiarów palma. Przyglądał się jej, gdy pisała stukając palcami w ekran telefonu. Długie, rude włosy splecione w gruby warkocz przewiązany szeroką kokardą w kolorach tęczy. Opalona, nakrapiana na zadartym nosie piegami, pociągała twarz z delikatnie wystającymi kośćmi policzkowymi. Okulary przeciwsłoneczne przesunięte na włosy nad czołem. Przez dziury na kolanach poszarpanych dzinsów wystawały opalne

kolana, rękawy bawełnianej granatowej bluzy z kapturem podwinięte ponad łokcie, wokół nadgarstków obu rąk skórzane opaski i kolorowe plecionki. Pod bluzą obcisła, głęboko wycięta podkoszulka w pistacjowym kolorze. Trudno było mu oszacować jej wiek. Z pewnością nie więcej niż trzydzieści lat.

Patrząc na nią, zastanawiał się, cóż takiego mogła usłyszeć, gdy mówił przez sen. Nikt nigdy nie wspominał, że w ogóle mówi przez sen. Po tym jak wyjechał do Singapuru, w zasadzie sypiał sam. A kiedy, od czasu do czasu, był w jednym łóżku z jakąś kobietą, to zazwyczaj nie miał czasu na spanie.

Wydało mu więc to bardzo dziwne i trochę zatrważające. Nienawidził tracić kontroli nad sobą. Także podczas snu. To pewnie przez zmęczenie i alkohol, pomyślał. Ponad dwanaście godzin w samolocie z Singapuru do Kopenhagi. Podczas lotu nie zmrzył oka ani na chwilę. Najpierw długo pisał zdawcze raporty dla firmy, potem nad Syberią wpadli w obszar koszmarnych turbulencji, a kiedy wreszcie wszystko się uspokoiło, zapijał swój strach i stres winem. Trochę bez opamiętania, bo ostatni kieliszek oddał stewardessie, gdy zaczęli schodzić do lądowania w Kopenhadze. Lot do Gdańska miał dopiero za

kilka godzin, rozłożył się więc na trzech siedziskach ławki w rogu pustej hali odlotów, kładąc plecak pod głowę. Miał zamiar czytać. Nawet nie pamięta, kiedy zasnął. To pewnie przez zmęczenie i etanol musiał zacząć coś bredzić przez sen...

Nieoczekiwanie kobieta wstała z podłogi. Zaczęła biec w kierunku korytarza prowadzącego do hali odlotów. Poczł rozczarowanie. Nie skończyli przecież rozmowy. Chciał dowiedzieć się, co mówił! Nie wie nawet, jak ma na imię! Chwycił swój plecak, zerknął na ogromną tablicę z rozkładem odlotów. Zostało jeszcze około dwudziestu minut do odprawy jego lotu. Biegł za nią. Zatrzymała się przy niewielkiej wnęcie pomiędzy restauracją i jakimś biurem. Obserwował ją oparty o betonową ścianę naprzeciwko wnęki.

Postawiła swój telefon na półce wieszaka gaśnicy przeciwpożarowej, zdjęła bluzę, oddaliła się od telefonu i zaczęła wykonywać dziwne ruchy swoimi rękami. Słyszał, że coś przy tym mówi. Niezauważony przez nią wbiegł do restauracji, usiadł za stolikiem tuż przy barierce. Stała przed telefonem, odwrócona plecami do niego. Mówiła głośno - rozpoznał, że po rosyjsku - i... migiała. Tak jak migają tłumacze dla niesłyszących! Przyglądał się jej ręką.



Ale nie tylko ręką. Poruszało się całe jej ciało. Nachylała się, niekiedy unosiła nogę, innym razem kręciła głowę. W pewniej chwili zsunęła z warkocza tęczową kokardę i rozpuściła włosy. Przez chwilę wyglądała, jak gdyby tańczyła.

Był za daleko, aby rozpoznać słowa, które wypowiada. Zresztą i tak by ich nie rozumiał. Jego znajomość rosyjskiego była śladowa. W zespole informatyków, którymi kierował w Singapurze, byli i Rosjanie, i Ukraińcy, i Białorusini. Czasami prosił ich, aby uczyli go rosyjskiego. I faktycznie uczyli. Przeważnie podczas wieczornego picia wódki w barze niedaleko ich biurowca. Bar prowadzili Ormianie, chociaż reklamowali się jako „jedyny prawdziwy rosyjski bar w Singapurze”. Jedynymi, w czym zawierała się jego rosyjskość, to kraj pochodzenia serwowanej tam wódki i jego nazwa. Bar nazywał się bowiem Czuli Putin.

Usłyszał z megafonu przynaglenie o rozpoczętej odprawie lotu do Gdańska. Nie ruszał się. Oczarowany, nie przestawał przyglądać się temu swoistemu spektaklowi. Rozmowa z głuchym przez telefon. Brzmiała jak absurd, ale to się naprawdę działo. Gdy z megafonu zamiast przynaglenia wybrzmiała groźba o zamknięciu odprawy, zerwał się i pognał do swojego gate'u. Zdyszany usiadł na swoim miejscu w pierwszej klasie. Korporacja wysyłała go na zesłanie do Polski. Zadbala, aby chociaż podróż do miejsca zsyłki była wygodna.

Wybrali dla niego Gdańsk z dwóch powodów: miał słowiańsko brzmiące nazwisko i stał się jeszcze bardziej efektywny niż jego szef Riccardo. Podczas jego pracy w Singapurze prawdziwe zyski czerpali z innowacji w softwarze. To on te innowacje wprowadzał. Zauważył, że najbardziej pomysłowi są Polacy, Rosjanie, Ukraińcy i Białorusini. Ponadto nigdy nie marudzą, światła w ich biurach gasną najpóźniej, są oddani i wierni firmie, a ponadto nie mają odwagi prosić o podwyżki. Na dodatek nie przestają się uczyć. Po roku w jego dziale pracował jeden Singapurczyk, jeden Hindus i sami

Słowianie. Dzięki temu zarejestrowali dwaście nowych patentów, a roczny wzrost zysku ze sprzedaży software'u - po podatkach - wzrósł o ponad dwadzieścia procent. Zauważyli to natychmiast. Postanowili otworzyć się na „nowe terytoria”. Wybrali Polskę, skąd mieli obsługiwać całą Europę Wschodnią. Nowy, wschodzący rynek na Wschodzie. Przyznał się pewnego razu w rozmowie z Riccardo, że jego babcia urodziła się w Gdańsku. Kiedy Riccardo im o tym doniósł, skojarzyli Gdańsk z Polską i Wschodem. Obiecali mu - gdy się zgodzi - premię wyższą niż półroczna pensja. Bez powiązania tego z zyskiem. W Gdańsku był w życiu tylko jeden raz. Jako niemowlak. Rodzice pojechali „do Danzig” na pogrzeb jedynej siostry jego babci. Ani on, ani jego matka nie byli na cmentarzu, bo z głodu tak wył, że matka musiała go nakarmić piersią w samochodzie. Zanim skończyła, pogrzeb się skończył.

W centrali firmy w Kalifornii uważali, że jeśli ktoś ma polsko brzmiące nazwisko i jego babcia jest z Gdańska, to delikwent opanuje cały rynek wschodni bez problemów. Ma słowiańskie geny i słowiańską mentalność. Dzięki temu poradzi sobie ze słowiańską korupcją. To predyspozycja - byli o tym przekonani - najważniejsza. On tymczasem miał dość Azji, miał dość Singapuru, chciał wrócić do miejsca, z którego pochodził, do Europy. W końcu zgodził się. Od wczoraj leciał pierwszą klasą z Singapuru do Gdańska, aby rozpocząć nowy etap swojego życia.

Samolot nie startował. W pierwszej klasie jest to dla linii lotniczej pewien problem. Trzeba jakoś wynagrodzić to pasażerom. Uśmiechnięta stewardessa przeniosła na tacy wysoki kieliszek z szampanem. Miał dosyć etanolu. Poprosił o kawę. Wyciągał komputer z plecaka, kiedy nagle w samolocie pojawiła się kobieta od migania dla niesłyszących. Chwilę potem usłyszał trzask zasuwanych drzwi. Poczł radość. Pomyślał, że tylko wariaci latają pierwszą klasą z Kopenhagi do Gdańska.

Startujesz, ledwie zdążysz wypić kawę lub szampana, a już lądujesz. A kosztuje cię około pięćset euro więcej. Kiedy głos kapitana ogłosił, że „osiągnęli wysokość przelotową” natychmiast wstał i ruszył w kierunku toalety „dla pasażerów klasy ekonomicznej”. W ogonie samolotu. Rudowłosa kobieta siedziała w ostatnim rzędzie. Czytała książkę. Uśmiechnęła się, gdy nachylając się zapytał, czy „może jednak opowie mi pani, cóż takiego mówiłem przez sen?”. Zapytał po niemiecku. Szepnęła, „że pomyśli o tym”. Po polsku.

Gdy usiedli obok siebie w pierwszej klasie stewardessa nie protestowała. Zabrała filiżankę z niedopitą kawą i przyniosła dwa kieliszki szampana. Zaczęli rozmawiać. Gdy zauważyła, że nie rozumie po polsku, przeszła na niemiecki.

- Czy to mama nauczyła panią polskiego?

- zapytał z zaciekawieniem.

- Nie. Mama tylko po polsku przeklinała. Nie lubiła Polski. Była Polką, ale była też Żydówką. Babcie i dziadka, jak i wielu innych Żydów, przegнали z Warszawy w sześćdziesiątym ósmym. Mama była wtedy małą dziewczynką. Ja też jestem po niej Żydówką. Chociaż mój ojciec to czysty Aryjczyk. Z Hamburga. Gdy byłem dzieckiem, polskiego uczyła mnie babcia. Potem uczyłam się sama.

Nie miał pojęcia, że w drugiej połowie dwudziestego wieku można było przegnać kogoś z kraju w środku Europy ze względu na pochodzenie. Nie interesował się zbytnio polityką i historią. A historią Polski to już w ogóle.

- To dlaczego leci pani do Polski?

Objęła kieliszek i nerwowo go ściskając przez kilka chwil milczała.

- Bo Masza tak chce. W Gdańsku mieszka jej siostra bliźniaczka. Pojechała tam za swoim mężem. Naukowcem z Nowosybir-ska. Pomogą nam.

Nie wiedział, kto to jest Masza. To nie było dziwne. Często ludzie opowiadając coś ważnego wymieniają osoby, których imiona nic rozmówcy nie mówią.

- Masza? - zapytał ostrożnie.

- To moja narzeczona. Maszeńka mieszka teraz w Petersburgu. Ale już niedługo. Za kilka miesięcy będzie moją żoną. Pobierzemy się w Kopenhadze. Straszna biurokracja w tej Danii, ale udało się. Mamy wszystkie papiery.

- To do niej pani migała? - zapytał.

- Skąd pan to wie?! - wykrzyknęła i odwracając głowę, spojrzała mu w oczy.

- Poszedłem za panią do gaśnicy. Widziałem jak pani stawia telefon i... - odparł.

- Masza jest głucha - przerwała mu.

- Tak naprawdę jest głuchoniema - dodała po chwili.

Głuchoniema lesbijka z końca Rosji chce przyjechać do Polski, aby zamieszkać w Gdańsku ze swoją niemiecką żoną. Przez chwilę wydało mu się to niedorzecznie absurdalne, ale potem przypomniał sobie, że homofobia w Rosji jest w porównaniu z Polską opresyjna i okrutna.

- A dlaczego Masza jest..., dlaczego Masza nie słyszy?

- To długa historia. Poznałyśmy się w Chabarowsku - odparła po chwili.

- To najdalszy chyba wschód Rosji. Dalej jest tylko Władywostok, a za nim to już zaraz Japonia. Ja tam byłam przypadkiem. Po studiach dziennikarskich na Sorbonie zatrudnił mnie Reuter. Według ich reguł na początku trzeba odbyć praktykę. To rodzaj inicjacji. Miałam do wyboru Sudan albo Rosję. Wybrałam Rosję. O tym, że jadę do redakcji w Chabarowsku, dowiedziałam się, gdy przesłali mi mailem mój bilet lotniczy.

- Wiedziałam, że Rosja jest duża, ale żeby aż tak - zachichotała.

- Masza była aktorką w teatrze w Petersburgu. W czasie urlopu chciała dorobić do marnej pensji. W okolicach Chabarowska, gdzie przez dwie trzecie roku jest po pas śniegu, a zimą od mrozu marzną nawet zęby, rosyjski telewizyjny kanał Ros-sija 1 kręcił kolejny film o Stalingradzie. W filmie Masza grała żonę rosyjskiego

oficera. W scenariuszu, kiedy stoi nad stawem, wybucha niemiecki granat i ranna Masza upada do stawu. Faktycznie Masza upadła, ale pijany pirotechnik odpalił granat o minutę za późno. Fala uderzeniowa w wodzie stawu ścisnęła głowę Maszy jak imadło. Nie rozpadła się jej czaszka, ale wyrwało jej oba bębniaki i wszystko, co innego jest w uszach. Dla Maszy w tym momencie zapadła cisza. Grobowa. Na całe życie. Masza ogluchła.

- Na miesiąc przed tym robiłam wywiad z Maszą. Dla Deutsche Welle. Potem spotykałyśmy się prawie każdego dnia. Pewnego razu została u mnie na noc. Od tego momentu ukrywałyśmy się przed światem. Miłość dwóch kobiet w Chabarowsku nie miała prawa zaistnieć.

- Nasza zaistniała. I przetrwała. Kiedy pan mnie podglądał, migałam Maszy o tym co wydarzyło się w Kopenhadze. Wolałam jej to wymigać niż wystukać na telefonie. Wiedziała, że za chwilę startuje nasz samolot. Ledwie zdążyłam.

- A pan po co leci do Gdańska? - zapytała, gdy samolot zaczął schodzić do lądowania.

- Czeka tam na pana jakaś Masza? - dodała, uśmiechając się do niego.

Zanim wsiadła do taksówki przed terminalem lotniska odwróciła głowę i kiwnęła w jego kierunku ręką na pożegnanie. Nie widział jej twarzy przesłoniętej pasmami jej rudych włosów.

Pierwszego dnia jego życia w Gdańsku wiał mocny wiatr od morza...

GDAŃSK, WIOSNA 2019 ROKU

Firma wynajęła jedno piętro w zupełnie nowym biurowcu przy ulicy Grunwaldzkiej. Z trudem wymówił nazwę ulicy wsiadając do taksówki. Samochód nie ruszał.

- Grunwaldzka... - powtórzył zniecierpliwiony.

- Panie kochany, no co pan? - zarechotał brodaty taksówkarz, odwracając głowę.

- Bez numeru nie ma jazdy. Grunwaldzka

to nie krótka uliczka przy Żurawiu. Na Grunwaldzkiej jest więcej numerów niż ja mam kasy na koncie.

Taksówkarz musiał zauważyć, że nie rozumie, co do niego mówi. Przyglądał się mu uważnie i po chwili ścisząc radio dodał: - Nicht numer, nicht faren...

Jego sekretarka z Singapuru zapomniała podać numeru ulicy! On także tego nie zauważył przeglądając teczkę z dokumentacją. Sięgnął po telefon. Poczul zniecierpliwienie, kiedy zbyt długo nie odbierała.

- Hallo? - usłyszał zaspany głos w słuchawce. Zdał sobie nagle sprawę, że w Singapurze jest po pierwszej w nocy.

- Sorry, Susan. Wiesz, że nie budziłbym cię bez potrzeby. Przyslij mi proszę dokładny adres naszego biurowca w Gdańsku. Ulicę znam, brak mi jednak numeru. To duże miasto i długa ulica. Jeśli możesz to natychmiast. Siedzę w taksówce.

- Jasne - odparła i rozłączyła się.

Susan potrzebowała niecałe dwie minuty, aby ze swojego mieszkania połączyć się z korporacyjnym serwerem gdzieś na chmurze, dwukrotnie się zweryfikować, znaleźć odpowiedni plik w tej dżungli folderów, wystukać na klawiaturze swojego telefonu kompletny adres i mu przesłać. Pokazał treść esemesa niecierpliwicemu się taksówkarzowi. Kiedy ruszyli przez chwilę zastanawiał się, czy tutaj w Gdańsku także będzie miał taką Susan...

Pierwsze pół roku w Gdańsku mieszkał w hotelu. Jego korporacja miała specjalną umowę z siecią hoteli Hilton na całym świecie. Tylko w tych hotelach zatrzymywali się pracownicy jego firmy. Nie zliczył, w ilu łóżkach w hotelach Hilton zasypiał i się budził. Wszystkie były identyczne. Ze wszystkich Hiltonów, w których mieszkał, nigdy nie zapomni tego w Wellington, w Nowej Zelandii. Około północy obudzili go łomotem w drzwi i wypędzili z łóżka prosto na ulicę. Razem ze wszystkimi. Ziemia pod budynkiem zaczęła się za bardzo trząść. Po kilku minutach przestała. Kiedy przez te minuty on i inni także się trzęśli - tyle że ze strachu - Nowozelandczycy

z personelu hotelu wydawali się być absolutnie spokojni. Ponoć w Wellington trzęsienia ziemi są tak częste, jak deszcze w Dublinie. Wrócił do łóżka, ale już do rana nie zasnął.

Hilton w Gdańsku. Na początku bardzo mu to odpowiadało. Nie można sobie wyobrazić lepszej lokalizacji. Tuż przy starym mieście, otoczony restauracjami i barami, w pokoju z widokiem na rzekę. Wymarzone miejsce. Tak myślał na początku. Później zrozumiał, że może i wymarzone, ale głównie przez turystów. Brakowało mu ciszy, zieleni, pustki, sąsiadów, a nawet listonosza.

W weekendy postanowił nie pracować. I konsekwentnie tego przestrzegał. To była rewolucyjna zmiana w porównaniu z życiem w Singapurze. Przez kilka pierwszych weekendów pakował do plecaka mapę miasta, przewodniki, wydruki relacji z podróżniczych blogów i ruszał w miasto. Niekiedy spontanicznie dołączał do pieszych wycieczek po mieście, podczas których przewodnicy opowiadali historię odwiedzanych budowli i w ogóle skomplikowaną historię tego miasta. Szczególnie tę polsko-niemiecką.

Po każdej z takich wycieczek dzwonił do matki w Berlinie. Zastanawiał się, dlaczego dopiero teraz zaczął interesować się gdańskimi korzeniami swojej rodziny. Chciał wydobyć od matki wszystko, co tylko zdołała sobie przypomnieć.

Zadzwoił także po wycieczce śladami Güntera Grassa w Gdańsku. Nie bez zdziwienia zauważył, że Grassa bardziej cenią w Polsce niż w Niemczech.

Z dziwnym spokojem, zupełnie bez emocji opowiedziała mu, że jej dziadek Brunon, ojciec jej ojca, a jego pradziadek, mieszkał z rodzicami na drugim piętrze domu, w którym mieszkał młody Grass.

- Dziadka Brunona ochrztili w tym samym kościele, co Grassa. Bo też był katolikiem. Nie wiem dokładnie, w którym, ale to musiało być gdzieś w dzielnicy Langfuhr - dodała.

Powiedziała to tak od niechcenia. Nie

znajdowała w tym fakcie nic szczególnego. Ot, taki przypadek.

- Byłem dzisiaj w tym kościele, przy domu Grassa także byłem! Wyślę ci fotografie! - wykrzyknął podniecony

- To dobrze synku, bardzo dobrze. Danzig to piękne miasto. Cieszę się, że w końcu jesteś bliżej mnie, a nie w tym jakimś Singapurze na końcu świata.

Kiedy rozmawiali, jego matka nigdy nie nazywała Gdańska tak jak on. Zawsze mówiła Danzig. Po pewnym czasie wysłuchiwał w tym rodzaj drażniącego dysonansu. Polacy byli uczuleni na tym punkcie. Szczególnie, gdy nazwę Danzig wypowiadali Niemcy. Po tym, jak poznał historię tego miasta, doskonale zrozumiał, dlaczego tak jest.

Zaczął uczyć się polskiego. Ale tak na poważnie. Nie jak przy pijatykach z Rosjanami, Ukraincami i Białorusinami w Czujnym Putinie. Recepcjonistka w Hiltonie poleciła mu nauczycielkę. Starszą, cierpliwą panią Zosię, która dorabiała do zenująco niskiej nauczycielskiej pensji i zgodziła się przychodzić do niego do hotelu. I to w soboty i niedziele. Tylko wówczas miał czas. W pozostałe dni pracował z reguły do dwudziestej drugiej. Ze względu na telekonferencje z szefostwem z San Francisco, które budziło się, gdy w Gdańsku był już wieczór, często zostawał w biurze nawet do północy.

Po miesiącu kupił sobie skuter. Granatową elektryczną Vespe. Nie mógł zrozumieć jak wcześniej mógł żyć bez skutera. Powoli orientował się, gdzie co się znajduje. Gdy była ciepła niedziela jeździł na plażę przy porcie, w Brzeźnie. Czasami wyprawiał się do Sobieszewa. Zabierał dres, biegał po lesie, a potem kąpał się w lodowatym Bałtyku.

Dokładnie miesiąc po tym, jak zaczął pracować w Gdańsku, poprosił swoją asystentkę, aby zarezerwowała salę w jakiejś dobrej restauracji. Zaprosił wszystkich na kolację. Skończyli pracę już o szesnastej i pojechali celebrować jego pierwszą miesięcznicę. Restauracja znajdowała się na

terenie dawnych wojskowych koszar, co zresztą było widać po zabudowie z czerwonej cegły. Piękne miejsce w dzielnicy, która kojarzyła mu się z Grassem. W Langfuhr. Z poprawną wymową polskiej nazwy Wrzeszcz bardzo długo miał problemy.

Zaczął tam często bywać. Odwiedzał nie tylko restauracje. Regularnie zachodził do unikalnego miejsca, które go oczarowało. W dwupiętrowym budynku, dawnej siedziby sztabu pruskich koszar ludzie z wyobraźnią i wrażliwością zrealizowali świetny plan. Idealnie połączyli galerię sztuki z przestronną kawiarnią i to wszystko uzupełnili księgarnią.

Uwielbiał tam zachodzić i popijając pyszną kawę czytać lub po prostu przyglądać się bywającym tam nietuzinkowym ludziom. Pewnej soboty w głębi sali przy stoliku za regałami dostrzegł postać kobiety, która językiem migowym opowiadała coś niewidocznej dla niego osobie siedzącej naprzeciwko. Zerwał się i pośpiesznie zbliżył się do regału. To nie była rudowłosa dziewczyna z lotniska w Kopenhadze. Często jej wypatrywał. Na ulicach, w galeriach handlowych, w muzeach. Mieszkali przecież oboje w tym samym mieście, kiedyś ją w końcu spotka - pomyślał.

Wychodząc z torbą zakupionych książek, przyciągnięty hałasem zaszedł pod dziwny budynek, z którego dochodziła muzyka. Stojąc przy otwartych drzwiach rozpoznał śpiew Agnes Obel. Wspomnienie, że razem z nią słuchał namiętnie - wtedy mało znanej - Obel nawet go nie drażniło. W hotelu wygooglował to miejsce: Stary Maneż. Postanowił, że pojedzie tam na następny koncert. Obojętnie, kto będzie na scenie.

Pewnego razu pojechał skuterem do Sopotu. Autor jego niemieckiego przewodnika polecał wizytę na molo i koniecznie kawę w hotelu Grand, który istniał już przed wojną i szczęśliwym trafem nie został zniszczony przez artylerię sowiecką. Kiedy popijał kawę, siedząc w barowej sali, na sąsiedni fotel wskoczył mały piesek. Przez kilka chwil merdał zabawnie ogonem, aby po chwili przenieść się na jego kolana. Kiedy



małym ciepłym jęczorkiem zaczął lizać go po policzku, stanęła przed nim młoda kobieta. – Przepraszam pana bardzo. Wysunęła mi się z obroży cwaniara. Proszę mi wybaczyć – powiedziała lekko zachrypniętym głosem patrząc mu w oczy.

Kiedy nachyliła się nad nim sięgając po psa, który wpił się pazurkami pod jego obojczykami, poczuł woń cytrusów i lawendy. Natychmiast wstał i trzymając psa na rękach, ostrożnie podał go kobiecie. Piesek popiskiwał i zabawnie przebiegał łapami w powietrzu. Wyglądał, jak gdyby płynął. Tak poznał Martę.

Wróciła ze Szwecji do Polski po dziesięciu latach życia na emigracji. Gdańsk był dla niej tak samo nowy jak dla niego. W Szwecji

zrobiła doktorat z genetyki w słynnym instytucie Karolinska. Po doktoracie miała dość Szwecji. A poza tym rozpadł się jej związek z mężczyzną. Postanowiła uciec od tamtego życia. Gdy przyjęto ją na stanowisko adiunkta na uniwersytecie medycznym w Gdańsku, spakowała wszystkie swoje rzeczy do wynajętego busa i promem z Karlskrony pewnego jesiennego poranka płynęła do portu w Gdyni.

Przez ponad dwa miesiące spotykali się tylko raz w tygodniu, zawsze w niedzielę i zawsze w Grandzie. Najpierw na kawie, potem na kolacjach. Od pewnego momentu zaczął za nią tęsknić już w poniedziałki. Rozmawiali głównie po angielsku. Czasami tylko zbierał w sobie odwagę - przeważnie

po dwóch lub trzech kieliszkach wina - i chwalił się tym, czego nauczyła go pani Zosia. Im więcej wina wypijał, tym lepiej mówił po polsku. Pewnego razu udało mu się nawet napisać na serwetce słowo Wrzeszcz bez jednego błędu.

Pierwszą wspólną noc spędzili w Grandzie. Kiedy zamawiał taksówkę, aby wrócić do swojego pokoju w Hiltonie, zapytała go, czy „jest bardzo przywiązany do tego Hiltona, bo jeśli nie, to mógłby zrobić wyjątek i spędzić noc tutaj, razem z nią”.

Od kilku miesięcy mieszkają razem. Miał dosyć hotelu. Kupił mieszkanie tuż przy parku. Niedaleko punktu widokowego. Widać stamtąd morze. Często tam chodzą spacerować z ich pieskiem. Mijają jakiś zrujnowany budynek, w którym kiedyś było ponoć studio telewizyjne, wspinają się stromą ścieżką na płaski szczyt wzgórza i patrzą na zatokę.

Tydzień temu, gdy tam poszli, był bardzo ciepły jesienny wieczór. Usiedli na drewnianej ławce. Tak jak wtedy, gdy spotkał ją pierwszy raz jej włosy pachniały lawendą i cytrusami. W pewnej chwili sięgnął po jej dłoń i bez słowa wsunął pierścienek na jej palec. Potem szeptał jej do ucha zapytał, czy zostanie jego żoną.

W zasadzie nie wie, czy się zgodziła, bo zaraz po tym zaczęli się całować...

JANUSZ LEON WIŚNIEWSKI – magister fizyki i ekonomii, doktor informatyki oraz doktor habilitowany chemii. W latach 1987-2018 roku pracował we Frankfurcie nad Menem w firmie informatycznej zajmującej się tworzeniem oprogramowania dla chemików. Jest autorem pierwszego w świecie programu do automatycznej translacji struktur w nomenklaturę chemiczną. Jako pisarz zadebiutował w roku 2001 powieścią S@motność w Sieci, na podstawie której powstał film oraz serial telewizyjny. Jest autorem powieści, zbiorów opowiadań, esejów, a także rozpraw popularno-naukowych. Tłumaczenia jego książek ukazały się w 19 krajach. Ojciec dwóch córek: Joanny i Adrianny. Od 2018 roku mieszka w Gdańsku.



FOT. RAFAŁ MASŁOW

Dana Guest
The American Academy

Take Me Home,

COUNTRY ROADS...

THE CONTEXT

I am sitting in my cozy 10 m² kitchen, listening to American favorite “Take Me Home, Country Roads” by John Denver, sipping on a shot of cognac, and devouring the burning scent of Jepun Bali incense. As my gaze darts between the Buddha statuette and the birch trees outside my kitchen window, I inadvertently start to reminisce on memories, trying to make sense of the startling realities of my current life in Poland.

I was born and raised during the communist regime in Poland. I learned English when I was 17 years old while attending high school in Canada and working the night shifts at a local donut shop. I raised my own kids in the deep South of the United States, an environment completely different than the one

I was raised in. As a high school business teacher in the United States, I strived to be a role model to the young adults around me, trying to instill both life and budgeting lessons in them.

After taking another sip of my cognac, my memories suddenly shift to hula dancing in Maui, haggling with vendors at the Namdaemun Market in Seoul, and running international schools in Indonesia and India. While in Indonesia, I toured Borobudur and Prambanan temples in Yogyakarta in the scorching heat. Elephants seen along the roads

were also exhausted from the heat, along with the fatigue that comes from parading tourists around. I went carpet shopping in the crowded New Delhi markets while being driven around by my driver Sanjeev, accompanied by Miquel and Aadhya to make sure that I wouldn't get ripped off by the local vendors.

To not completely lose myself in this melancholic flashback of my past, I shift my focus to the sorry state of my new home. It is currently Majówka, the Polish 7-day long weekend. With most people not working and instead enjoying

Here are some tips that might improve your fluency and make you sound more natural:

Try not using will when talking about the future. Use might, going to, “gonna”, or present continuous instead.

For example: I'm thinking about going to Greece in the summer. While there, I might visit my friends for a couple of days. I'm gonna check the flights next weekend and figure out the dates.

Eliminate the word must from your vocabulary (for the time being) when using the polish equivalent to “muszę coś zrobić”. Depending on the sense of urgency you try to convey, try using I have to, I need to, I've got to, I “gotta”, instead.

For example: This weekend, I've got to go grocery shopping because my friends are coming over for dinner, and I have no food in the fridge. I will also need to get some cleaning supplies as I'll have to clean the house too. Oh, and I've just realized that I've run out of cognac, so I gotta run now to the liquor store! :]



ilustracja: Anna Szuster

the sacred holiday, I am left with unfinished floors, doorless rooms, and no running water in my new apartment. And then it hit me. After almost three decades of “wandering the streets” of Toronto, Atlanta, Portland, Jakarta and New Delhi, I’ve unexpectedly and humbly returned home to Poland. This small place, with a washing machine in the kitchen and the occasional grumpy

Polish neighbor who sometimes tells me to go back to where I came from, I have come to love and call this place home. My children second this. When they reminisce on their childhood, their minds fill with the omnipresent aroma of various cabbage and potato meals. “Despite not growing up in Poland, traditional Polish foods have become my comfort foods simply because they were

a large part of my childhood and shaped many of my preferences and choices to this day. Despite being so far from Poland and growing up in Georgia, USA, I was raised in the most European household possible in the deep South. From determining my first language, going to a Polish Saturday school, having a tight knit group of Polish friends I’ve known my whole life, and eating potatoes 24/7,

Mix all the conditionals up to better express yourself. Some examples:

If I had not lived in India, I would’ve never bought those carpets at the New Delhi Market. (But, I did live in India, and I did buy those carpets). **Past and Past.**

If I had taken the job in Seattle, I would be going to Singapore next month. (But I didn’t take the job and I won’t be going to Singapore next month). **Past and Future.**

If I hadn’t had so much cognac the other day writing this article, I would not be having a hangover now. :) (But I did have a lot of cognac, and I do have a hangover now) **Past and Present.**

If I was a better cook, I would’ve invited my friends for dinner last weekend. (But I am not a good cook, so I didn’t invite my friends for dinner last weekend). **Present and Past.**

Most importantly, remember these tips on how to overcome your language barrier:

- 1 Never apologize for not speaking English well.
- 2 English is for communication. It is not your area of expertise.
- 3 CHOOSE to be confident.
- 4 Ask to repeat.
- 5 Ask for clarification.
- 6 Let it be.

being Polish has and forever will be a big part of my life. I have been surrounded and immersed in Polish culture my whole life, which is why I think I feel most myself when I'm in Poland." – my daughter, Karolina, says.

The why's and how's of choosing to teach English in Gdańsk are endless since there seemingly might have been so many other opportunities worldwide. However, this makes for a good story another time. Our philosophy of teaching and mastering English at the American Academy are the focal points of this article.

OUR PHILOSOPHY

Teaching is the profession that creates other professions. In this case, mastering English might help you achieve your personal and professional goals. Drawing on my international experience as an educator, I believe that you can learn and achieve excellence; this is the goal we strive for at the American Academy. Throughout my 15 years of educational practice, I have demonstrated a strong commitment to learning and have created an atmosphere of collaborative fun and meaningful learning. I believe that effective school leaders need to keep in mind that "[their] organization is perfectly designed for the results you're getting," a quote by Victoria Bernhardt, an Executive Director of the Education for the Future Initiative. Therefore, I strive to create a school environment that fosters success through establishing trust and treating everyone with dignity. Furthermore, effective school leaders and teachers must also be driven to inspire excellence, meaning they must have a vision that all learners can achieve their goals. Therefore, here at the American Academy, we are profoundly persistent and passionate about pursuing this

vision. We are also globally minded and inspired by multicultural people and cultures in our teachings. We teach in a way that builds confidence helping you overcome the challenges of learning a new language. Meaningful conversations, social events, and experiential learning will boost your confidence, help expand your vocabulary base, and understand the grammar through applied methods. We are proficient in engaging our clients in cultural exchanges and developing their fullest potential to enable them to compete in the global marketplace.

MASTERING ENGLISH

There is absolutely no "one size fits all" approach to teaching and learning English. The instruction needs to be diversified, individualized, and relevant to the learner. Assuming that all these philosophical approaches are present, learning will not happen alone if you don't commit yourself to the process. No amount of money will buy you this skill. As you might have guessed, hard work and perseverance are the only things that will pay off in the long run.

DANA GUEST, the founder of the American Academy in Garnizon, is a Polish/American native speaker with more than 25 years of cross-cultural and international experience in teaching, school leadership, curriculum development, and business development in the United States, Canada, and South East Asia. She is a certified principal and a certified teacher in the state of Oregon, Washington, and Georgia. Her DNA results show that she is 40% Balkan and 30% Baltic - that's probably why she loves Balkan wines and the Polish sea.

DANA GUEST, założycielka szkoły językowej The American Academy w Garnizonie, jest polsko-amerykańskim lektorem z ponad 25-letnim, międzykulturowym i międzynarodowym doświadczeniem w nauczaniu, zarządzaniu szkołą oraz opracowywaniu programów edukacji i rozwoju biznesu w USA, Kanadzie, i Azji Południowo-Wschodniej. Jest dyplomowanym dyrektorem i nauczycielem w stanach Oregon, Waszyngton i Georgia. Jej wyniki DNA pokazują, że pochodzi w 40% z Balkanów, a w 30% z regionu Bałtyku - prawdopodobnie dlatego wwiełbia bałkańskie wina i polskie morze.





SPACEREM PO NOWOŚCIACH!

Pierwsza połowa roku nie poskąpiła nam nowych, interesujących miejsc w Garnizonie. Nowi sąsiedzi mają do zaoferowania rozmaite pyszności, zachęcają też do dbania o kondycję, urodę i inne aspekty życia... Spójrzmy, kogo warto odwiedzić, poznać i zaprzyjaźnić się na dłużej!

Naszą przechadzkę rozpoczynamy od ulicy Chrzanowskiego, a konkretnie od biurowca HIRO. Od niedawna istnieje tu nowy, prywatny **złobek A-KuKu**. Pod tym samym adresem, w jednym z lokali na poziomie parteru, swoją działalność rozpoczął również salon **MEON EMS Impulse Training**, oferujący innowacyjny trening połączony z elektryczną stymulacją mięśni – to oczywiście propozycja nie dla berbeci, lecz dla dorosłych, którzy chcą zadbać o formę. Swoje kroki kierujemy teraz na ulicę Leśmiana, najmłodszy spośród garnizonowych traktów. W styczniu otwarty został tu **salon piękności Perfect Look Clinic**, oferujący różnorodne zabiegi na twarz i ciało, a także usługi specjalistów medycyny estetycznej i trychologii! Tuż

obok powstał również spożywczy sieci **Żabka**. Szczyptę pikanterii zapewnia nam z kolei **PAR L'AMOUR**, nowy butik z bielizną i zabawkami... dla dorosłych. Skracamy w lewo, w ulicę Hemara! Nasz następny przystanek to nowe **delikatesy spożywcze „U Lokalsów”**. Ewelina i Jakub, pasjonaci zdrowej żywności, mają dla nas szeroką ofertę produktów najwyższej jakości, w tym ekologiczny nabiał, ciasta, przetwory zbożowe oraz świeże warzywa i owoce. Tego lata ich najbliższym sąsiadem zostanie **Crazy Butcher**, sklep, w którym – jak sama szalona nazwa podpowiada – do nabycia będą różnorodne mięsa i wędliny, m.in. wołowe steki i burgery. Następnie obieramy ścieżkę obok placu budowy siódmego kwartału Garnizonu.

Przy ul. Słonimskiego 6 znajduje się **V's Beauty Room** – nowy salon oferujący manicure, pedicure i stylizację brwi. Tuż obok powstaje **Ferrara Cucina Italiana**, czyli restauracja specjalizująca się we włoskich przysmakach. Pierwsze pasty, pizze i tiramisu właściciele planują zaserwować w lipcu.

W sercu Garnizonu, przy ul. Norwida, czeka nas wizyta w nowym **butiku odzieżowym ByCabo**. Nieopodal, w bezpośrednim sąsiedztwie Składu Wina i Lawendy oraz dyskontu Biedronka wstąpimy też do otwartej niedawno **drogerii Natura**. Przeszliśmy już sporo, zrobione zakupy swoje ważą, czas więc przysiąść i coś przekąsić. W otwartej wiosną restauracji **Masna Micha** przy ul. Hemara 23 możemy liczyć na świeże i zdrowe bowle, wrapy i sałatki, można więc objadać się bez wyrzutów sumienia.

Teraz pora na kawę! Docieramy do budynku Esprit Haus w Garnizonie Kultury, by odwiedzić **Struśkawkę** – nową kawiarnię, kuszącą również pysznymi deserami. Zastrzyk energii stawia nas na nogi, a wielki szlem garnizonowych nowości dopełni nam dziś przejście Alejką Rzemieślników obok Starego Maneżu. Są tu nowi najemcy pawilonów – showroom z różnorodnymi ozdobami imprezowymi **Dekorotka**, studio designu **ACOS**, a także gratka dla miłośników koszykówki – **SK Point**, czyli showroom Sklepu Koszykarza.

Spacer szlakiem nowych lokali usługowych dobiegł końca, wspomnijmy jednak jeszcze o ważnej przeprowadzce. Mekka miłośników wspinaczki, czyli **centrum boulderingu Murall**, przenosi się do lokalu przy ul. Hemara 23/U3. Otwarcie nowych ścianek już tego lata!

Na stronie 2 nowi garnizonowi sąsiedzi zamieścili kupony promocyjne specjalnie dla naszych czytelników. Pełna lista lokali usługowych wraz z adresami i mapką znajduje się na str. 42-43.

ZNAJDZIESZ W GARNIZONIE...

GASTRONOMIA

- 1 GASTRONOMIA PROGRES EVENT&CONFERENCE ul. Słowackiego 17
- 2 JAFFA EAT&DRINK – restauracja izraelska ul. Słowackiego 13/4
- 3 U KRÓLIKA – restauracja ul. Słonimskiego 6/U12
- 4 LULA FOOD & DRINK ul. Norwida 4
- 5 MARMOLADA CHLEB I KAWA – kawiarnia-piekarnia z restauracją ul. Słonimskiego 5
- 6 UMAM – cukiernia i kawiarnia ul. M. Hemara 1
- 7 LIGHTBOX – zdrowa dieta z dostawą al. Grunwaldzka 186
- 8 STRUŚKAWKA – kawiarnia ul. Słowackiego 19
- 9 SZTUKA WYBORU – kawiarnia ul. Słowackiego 19
- 10 BROWAR VREST – browar rzemieślniczy, bistro ul. Słowackiego 23
- 11 PUB BROWAR SPÓŁDZIELCZY al. Grunwaldzka 190
- 12 KUCHARIA – restauracja z kuchnią polską ul. Słonimskiego 6/U4, ul. M. Białoszewskiego 6
- 13 ELIKSIR – cocktail bar&restaurant ul. Hemara 1
- 14 PING PONG – kuchnia ul. Słowackiego 21
- 15 POBITE GARY WRZESZCZ ul. Słowackiego 21
- 16 COLUMBUS BISTRO & CAFÉ ul. Norwida 9
- 17 MAMI SUSHI – sushi bar ul. Hemara 3
- 18 MASNA MICHA – bowl, sałatki, wrapy ul. Hemara 23
- 19 SKŁADAK – Wino, Kawa i Rowery ul. Szymanowskiego 18
- 20 TAKO GDAŃSK – restauracja meksykańska ul. Słowackiego 13/U1
- 21 WŁOSZCZYŻNA – pizzeria ul. Słonimskiego 6
- 22 FRANCO HOT DOGS – rzemieślnicze hot dogi ul. Chrzanowskiego 11/U9
- 23 ORANŻERIA – restauracja&cocktail ul. Stachury 6
- 24 LATTO GELATO – lodziarnia ul. Białoszewskiego 12
- 25 ZAKWASOWNIA – vegan&organic bistro ul. Norwida 2
- 26 FILIŻANKA – pijalnia czekolady ul. Norwida 7
- 27 FERRARA – restauracja włoska ul. Słonimskiego 6/U2

ARTYKUŁY SPOŻYWCZE

- 28 GDAŃSKI BAZAR NATURY – bazar z ekologiczną i regionalną żywnością ul. Słowackiego 19
- 29 ZAKWASOWNIA – vegan&organic sklep ul. Norwida 2
- 30 SKŁAD WINA I LAWENDY – winiarnia, produkty prowansalskie ul. Norwida 17
- 31 ŻABKA ul. Słonimskiego 1/62
- 32 ul. Chrzanowskiego 11
- 33 ul. Hemara 2
- 33a ul. Leśmiana 9
- 34 BIEDRONKA ul. Norwida 15
- 35 MANUFATURA MOJEJ MAMY – cukiernia/piekarnia ul. Słonimskiego 1
- 36 BIENWENU – piekarnia francuska ul. Chrzanowskiego 11/1
- 37 MIELNIK/VIKTORIA – piekarnia/cukiernia ul. Norwida 23
- 38 VININOVA – wina i alkohole ul. Leśmiana 7/U16
- 39 MISIEK – delikatesy mięsne ul. Norwida 9 U1/U2
- 40 WINE TASTE BY KAMECKI – sklep winiarski ul. Stachury 6
- 41 U LOKALÓW – delikatesy spożywcze ul. Stachury 6
- 42 CRAZY BUTCHER – sklep mięsny ul. Stachury 6
- 43 BULWA – warzywniak ul. Norwida 9/U3

ZDROWIE

- 44 INDYWIDUALNA SPECJALISTYCZNA PRAKTYKA LEKARSKA ul. Hemara 3/U5
- 45 DENTAL SPA – Klinika Stomatologii Kosmetycznej ul. Szymanowskiego 14
- 46 ORTHOPEDICS – specjaliści ortopedii ul. Szymanowskiego 14/U8
- 47 GABINETY ZDROWIA POBŁOCZY ul. Słonimskiego 6/9
- 48 PRZYCHODNIA LEKARSKA NFZ SŁONIMSKIEGO ul. Słonimskiego 1/63
- 49 OPYTK HANZA ul. Norwida 23/U1
- 50 ORTOPEDIKA – Centrum Chirurgii Specjalistycznej ul. Hemara 17
- 51 WIEWIÓR „K” – Stomatologia Dziecięca i Rodzinna ul. Norwida 7/U4
- 52 ZDROWY UŚMIECH Healthy Smile – dentysta ul. Słonimskiego 1/69

- 53 HOLISTIC TERAPIE NATURALNE ul. Słowackiego 3
- 54 PROBODY CLINIC – gabinet fizjoterapii ul. Norwida 2
- 55 NORD CLINIC – centrum pediatrii ul. Norwida 3/U2
- 56 PREMIUM LAB – stomatologia ul. Szymanowskiego 12/U1
- 57 APTEKA Szymanowskiego ul. Szymanowskiego 14
- 58 PRODENT – gabinet stomatologiczny ul. Słonimskiego 1/65
- 59 K&K JAGŁAK – salon optyczny ul. Szymanowskiego 14

URODA

- 60 DASHA BEAUTY – kosmetyczka estetyczna&PMU ul. Szymanowskiego 14
- 61 FRYZJERZY Z GARNIZONU ul. Białoszewskiego 5
- 62 ZAWSZE PIĘKNA – salon urody ul. Słonimskiego 1/68
- 63 MONIKA SOBIERSKA ESTETICA EXPERT & PMU – salon kosmetyczny ul. Norwida 2/U7
- 64 SALON ALICJA – kosmetyczka ul. Słonimskiego 6/U10
- 65 LOKÓWKA – studio fryzjerskie ul. Hemara 3
- 66 STETSIUK HAIR EXPERT – salon fryzjerski ul. Chrzanowskiego 11
- 67 CZUPRYNIKI CZESANIE & BRYKANIE – fryzjer dla dzieci ul. Słonimskiego 6/U1
- 68 SKIN LAB – gabinet kosmetyczki ul. Hemara 2
- 69 FIVE SENSES – float spa ul. Norwida 4
- 70 EASY BARBERS – męski salon fryzjerski ul. Białoszewskiego 10
- 71 UNIQUE NAILS ul. Hemara 2
- 72 INSTYTUT URODY POR FAVOR ul. Hemara 15/U2
- 73 SZTORM – Tattoo Studio ul. Norwida 13/U1
- 74 SZTORM BARBERSHOP – fryzjer męski ul. Norwida 13
- 75 SUSZARKA – salon fryzjerski ul. Szymanowskiego 18
- 76 FIX YOUR SKIN – gabinet kosmetyczki ul. Szymanowskiego 20/U4
- 77 AMBER HAMMAM – day spa ul. Chrzanowskiego 11
- 78 MANI PEDI BY LUIZA – manicure i pedicure ul. Leśmiana 9/U12
- 79 V'S BEAUTY ROOM – salon manicure ul. Słonimskiego 6/U1

- 80 PERFECT LOOK CLINIC – salon piękności Leśmiana 11/U11
- 81 DROGERIA NATURA ul. Norwida 15
- 82 PROFESSIONAL ACADEMY OF HAIR AND BEAUTY – salon fryzjerski ul. Słonimskiego 1/64
- 83 HAIRMATE – salon fryzjerski ul. Leśmiana 11
- 84 DERMIDEA – Centrum Medycyny Estetycznej i Laseroterapii ul. Słonimskiego 2/5

KULTURA I ROZRYWKA

- 85 SZTUKA WYBORU – galeria sztuki ul. Słowackiego 19
- 86 STARY MANEŻ – klub muzyczny ul. Słowackiego 23
- 87 STUDIO TAŃCA ARTISTIC ul. Słowackiego 21
- 88 POMORSKI INKUBATOR KULTURY ul. Słowackiego 21
- 89 WRZE PRACOWNIA – studio foto, video ul. Słowackiego 19/8

SPORT I REKREACJA

- 90 KLUB BADMINTONA GARNIZON ul. Słowackiego 7a
- 91 MURALL – centrum wspinaczkowe ul. Hemara 23/U3
- 92 STUDIO TAŃCA ARTISTIC ul. Słowackiego 21
- 93 SKŁADAK – serwis rowerowy ul. Szymanowskiego 18
- 94 HULAJSTOP – naprawa hulajnog elektrycznych ul. Szymanowskiego 18
- 95 MEON EMS Impulse Training ul. Chrzanowskiego 11

WNĘTRZA, DESIGN I MODA

- 96 DECORE ATELIER – tekstylia ul. Hemara 2
- 97 PROJEKT KWIATY – kwaciarnia ul. Słonimskiego 6
- 98 OKNO, KWIATY I MY – kwaciarnia ul. Norwida 7
- 99 MUSCAT – showroom z okularami ul. Słowackiego 23, Pawilon 6 (Alejka Rzemieślników)
- 100 SZPIŁASHOP – pasmanteria, sklep z tkaninami ul. Słowackiego 19
- 101 MAG MODERN ART GALLERY / EVC DESIGN STUDIO ul. Leśmiana 11
- 102 TAILORS CLUB POLAND – krawiec męski, szycie na miarę ul. Norwida 2
- 103 STYLOWA – butik odzieżowy ul. Szymanowskiego 18
- 104 RUBIO – galeria sztuki i designu ul. Słonimskiego 5 lok. 66

- 105 NP STUDIO Natalia Pigulak – projektowanie kuchni ul. Białoszewskiego 4 6/U1
- 106 GALERIA IDEALNE WNĘTRZA ul. Słowackiego 19
- 107 ALFA FLOORS – podłogi drewniane ul. Hemara 3
- 108 ARTEMIA DESIGN – studio projektowania wnętrz ul. Szymanowskiego 4
- 109 KOTY NA PLOTY – warsztaty krawieckie ul. Słowackiego 19
- 110 BY CABO – butik odzieżowy ul. Norwida 2
- 111 SKLEP KOSZYKARZA – sklep sportowy ul. Słowackiego 23 (Alejka Rzemieślników)
- 112 ACOS – studio designu ul. Słowackiego 23 (Alejka Rzemieślników)
- 113 DEKORATKA – wystrój i organizacja imprez ul. Słowackiego 23 (Alejka Rzemieślników)
- 114 CHCE MI SIĘ – warsztaty krawieckie ul. Słowackiego 1A

DORADZTWO

- 115 BIURO DORADZTWA EKONOMICZNEGO I PRAWNEGO al. Grunwaldzka 186, lokal 2.11.
- 116 KANCELARIA ADWOKACKA ADWOKAT DARIUSZ MACIEJEWSKI al. Grunwaldzka 186
- 117 RKF Iwona Ratkowska (EXPANDER) – kredyty hipoteczne, doradztwo finansowe ul. Słonimskiego 5/U3 (64)
- 118 BIURO RACHUNKOWE ANNA DEMCZUK – usługi księgowe ul. Szymanowskiego 20/U3
- 119 MANUFATURA KREDYTÓW – usługi finansowe ul. Szymanowskiego 20/U3
- 120 PERFECT Niezależne Doradztwo Finansowe SA ul. Słonimskiego 6/U6
- 121 MICHAEL/STRÓM INVESTMENTS Dom Maklerski S.A. ul. Słonimskiego 2/U1
- 122 AXA Polska S.A. ul. Norwida 4
- 123 UBEZPIECZALNIA ul. Norwida 4
- 124 BAKOWSKI&HADAŚ KANCELARIA RADCÓW PRAWNYCH SP. P. al. Grunwaldzka 186 l.p.
- 125 CZERNIAWSKI, BŁASZKOWSKI, DROGOSIEWICZ RADCY PRAWNI SP. P. ul. Norwida 2
- 126 NOTARIUSZE MILENA GŁUCHOWSKA, DAGMARA GORNOWICZ, MARTA LINDNER al. Grunwaldzka 190

- 127 KANCELARIA ADWOKACKA ALEKSANDRA PIELUZEK-LABUDA ul. Szymanowskiego 4
- 128 PKF CONSULT ul. Szymanowskiego 4

DLA DZIECI

- 129 PRZEDSZKOLE ŻYRAFA ul. Norwida 4
- 130 ul. Słowackiego 13
- 131 GŁÓWKA PRACUJE – sklep z zabawkami edukacyjnymi ul. Słowackiego 23, Pawilon 7 (Alejka Rzemieślników)
- 132 MAMALULU Akcesoria dziecięce ul. Hemara 3
- 133 LUCKY DUCKY – artykuły dla niemowląt i dzieci ul. Szymanowskiego 14
- 134 BUDUMI – przestrzeń do zabawy i nauki ul. Hemara 19
- 135 ŻŁOBEK A-KUKU ul. Chrzanowskiego 11/U7

NIERUCHOMOŚCI

- 136 CENTRUM NIERUCHOMOŚCI HOSSA al. Grunwaldzka 190
- 137 PREMIUM APARTMENTS – biuro nieruchomości ul. Słonimskiego 6/13
- 138 HOME ASSET – biuro nieruchomości ul. Norwida 4
- 139 METROHOUSE – biuro nieruchomości ul. Leśmiana 11/U9

INNE

- 140 BIELINEK – pralnia ekologiczna ul. Słonimskiego 6/5
- 141 TRAVELPLANET.PL – biuro podróży ul. Słonimskiego 1/67
- 142 SMART HOTEL ul. Słowackiego 3
- 143 KAMPUS – usługi noclegowe ul. Słowackiego 19
- 144 ADI GLOBAL – systemy bezpieczeństwa ul. Norwida 4
- 145 LUKAS FILM – produkcja filmów reklamowych i sesji zdjęciowych ul. Słowackiego 19/8
- 146 WSZYSTKIEGO SŁODKIEGO Content&Event Studio ul. Hemara 23/U4
- 147 ZOOLAND – sklep zoologiczny ul. Słonimskiego 1/71
- 148 THE AMERICAN ACADEMY OF BUSINESS ul. Szymanowskiego 20/U6
- 149 EGO Centrum Pomocy Psychologicznej al. Grunwaldzka 186
- 150 HOTEL GARNIZON ul. Słowackiego 13
- 151 PAR L'AMOUR – butik erotyczny ul. Leśmiana 11/U10



Al. Grunwaldzka

Białoszewskiego

Białoszewskiego

Stonimskiego

Hemara

Norwida

Stachury

Leśmiana

Chrzanowskiego

ul. Słowackiego

Al. Żołnierzy Wyklętych

- Wjazd na parking podziemny
- Parking naziemny
- Parkometr
- Punkt ładowania samochodów elektrycznych
- Przystanek autobusowy/tramwajowy
- Strefa parkowania Garnizon
- Strefa parkowania Garnizon zabytki

ZAPARKUJ W GARNIZONIE!

Sprawdź, gdzie i na jakich zasadach możesz komfortowo zaparkować swoje auto za każdym razem, gdy przyjeżdżasz do Garnizonu.







OPŁATY JEDNORAZOWE

PARKINGI PODZIEMNE -1

7 DNI W TYGODNIU, 24H/DOBĘ

pierwsza
1h = 0 zł
każde kolejne
30 min = 1 zł

pierwsza
1h = 2 zł
każde kolejne
30 min = 1 zł

-  **P9** Białoszewskiego 8
-  **P6** Szymanowskiego 20
-  **P12, P11** Norwida 2-4, Słonimskiego 1-9
-  **P1** Chrzanowskiego 11
-  **P3** Leśmiana 5 **JUŻ WKRÓTCE!**
-  **P8** Norwida 1 **JUŻ WKRÓTCE!**

PARKINGI NAZIEMNE

7 DNI W TYGODNIU, 8.00-20.00

pierwsza
1h = 1 zł
każda kolejna
1h = 2 zł

postój
do **30 min**
z biletem
= 0 zł

-  Grunwaldzka 184 (dziedziniec)
-  Białoszewskiego (przy Klubie Badmintona)
-  Linarium (Garnizon Kultury)
-  Pozostałe parkometry

abonament
100 zł/m-c
zakup w parkometrze

ABONAMENTY

 **1 m-c**

 **6 m-cy**

 **1 rok**

210 zł
brutto
170,73 zł
netto

1080 zł
brutto
878,05 zł
netto

1920 zł
brutto
1560,98 zł
netto

Jak wykupić abonament



WEJDŹ NA
HOSSABIZ.PL/PARKING



WYBIERZ INTERESUJĄCĄ
CIĘ OPCJĘ



ODBIERZ KARTĘ PARKINGOWĄ
W HOSSA.BIZ, NORWIDA 4



ZAPŁAĆ ONLINE

Jak zapłacić za jednorazowy postój:



W PARKOMETRZE



PRZEZ APLIKACJĘ
NA SMARTFONIE